Stron 8 | ROK ŚWIĘTY | Cena 1 sh

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO - KULTURALNY

Rok IV. | Londyn, niedziela 25 czerwca 1950 | Nr. 26 (157)

JAN TOKARSKI

W RZYMIE I PO DRODZE (1)

NIE tylko Czytelnicy ŻYCIA, ale prawie wszyscy Polacy na Wyspie wiedzą chyba, że X. mgr. H. Kornacki organizuje pielgrzymki polskie na Rok Święty, że tych pielgrzymek było już dwie, a trzecia wyrusza 25 sierpnia br. i że, być może, będzie jeszcze czwarta w grudniu, że niezmordowany Kapelan obmyśla już trasę i szczegóły techniczne przyszłorocznej pielgrzymki do Lisieux, Lourdes, Santiago di Compostella w Hiszpanii i Fátima w Portugalii. O polskich pielgrzymkach do Rzymu, o ich duchowym poziomie wiedzą już coś niecoś Anglicy i to nie tylko katolicy. A dzięki radiu watykańskiemu, „Osservatore Romano", „Civiltà Cattolica", BBC, etc. wie się o nich także poza Wyspą.

Z komunikatów i artykułów w obu naszych tygodnikach znają Czytelnicy dokładnie trasę pielgrzymek: Dover, Calais, Paryż. Chambery, Nicea, San Remo, Genua, Pisa, Viareggio, Grossetto, Rzym, Monte Cassino, Asyż, Loreto, Ankona, Bolonia, Wenecja, Padwa, Turyn, przejazd przez Alpy (masyw Monte Cenisio), Chambery, Paray - le - Monial, Paryż i z powrotem do Londynu. Nie warto rozpisywać się o szczegółach, zrobili to już w ŻYCIU inni. Zatem kilka uwag tylko. I parę migawek pudełkowym, zwyczajnym „Kodakiem".

* * *

Już od Calais zaczynamy czuć się Europejczykami, chociaż fantomy angielskości zjawiają się jeszcze w krajobrazie — owe modo britannico grodzone pola i łąki, nieraz kolor cegły, kształt budynku. Lecz zieleń traw i liści nabiera odcienia ciepłej żółtości, za którą od dawna tęsknią oczy, a domy stają się zawadiacko zindywidualizowane, każdy inny, zwrócone do drogi to frontem, to szczytem, to ukosem. Przed domami swojski nieporządek. Ludzie ubrani niedbale, często biednie. Niewiasty po polsku przysadkowate, krótkonogie, mężczyźni w koszulach bez kołnierzyków, w malowniczych szelkach. Widoczki znajome a dawno niewidziane. Ruch samochodowy niewielki. — Po Anglii Francja wydaje się krajem wyludnionym i biednym. Jest przez to jakaś polska, bardzo swojska.

Głośno stwierdzają to pielgrzymi. Z każdym kilometrem (już nie milą!) czują się coraz bardziej sobą. Cokolwiek mówi się o Francji, nawet powietrze tego kraju jest katolickie, nawet chłopi pracujący na polach w niedzielę są nam bliscy. Otrząsamy się z angielskiej „decency", z uprzejmej obojętności także i na rzeczy ostateczne. Angielscy robotnicy, którzy w Londynie w niedzielę naprawiają lub malują domy, są nam w indyferentnym powietrzu Wyspy obojętni. Niemal, że ich nie dostrzegamy. Francuscy zaś bolą nas jak grzech, jak w ł a s n y grzech.

To właśnie z Francji Matka Boska płacząc kazała dwojgu dzieciom powiedzieć Ojcu św., aby lękał się nie tak walczącego ateizmu, jak religijnej obojętności, indyferentyzmu, zatycia ziemią i jej sprawami, braku wszelkiego głodu prawdy absolutnej. Ta choroba Zachodu, która w krajach anglosaskich panuje przede wszystkim, wyobcowuje Boga całkowicie ze świata, czyni Go człowiekowi doskonale niepotrzebnym, gdy czynne bezbożnictwo aktualizuje jego wszechobecność: Może i dlatego św. Jan Bosco przepowiadał smutne losy „al perfido Albione", przewrotnemu Albionowi, tak wypranemu z woli posiadania prawdy objektywnej, dla niewygody konsekwencji, jakie prawda za sobą pociąga. Może z tego przeczucia rodzą się tu katastroficzne utopie, wieszczby zagłady?

* * *

I z Jerozolimy i z Brytanii jednakowo otwiera się sklepienie niebieskie, pisał przed 15 wiekami św. Hieronim: „et de Hierosolimis et de Britannia aequaliter patet aula caelestis". A jednak zanim jeszcze chrześcijaństwo przyszło na świat, nawet pogańska ludzkość wierzyła, że są na ziemi miejsca, nad którymi nieba nachylają się łaskawiej, skąd ku niebiosom bliżej, łatwiej, pewniej. Sam św. Hieronim, krewki Doktór Kościoła, obrażony na rzymskich dostojników, Betlejem wybrał sobie na pustelnię. Natomiast prawie mu współczesny św. Jan Złotousty pragnął z całej duszy, gdyby siły dozwoliły, a urząd arcybiskupa Konstantynopola nie był przeszkodą, odbyć pielgrzymkę do Rzymu, popatrzeć na łańcuchy, którymi był skuty św. Paweł, odwiedzić pobożnie więzienie, w którym siedział i pomodlić się na grobach obu Apostołów.

Pielgrzymowanie leży w naturze ludzkiej. Nawet ludzie nie wyznający żadnej konkretnej religii, dają wyraz tej duchowej potrzebie człowieka. Odwiedza się groby sławnych ludzi i miejsca, z nimi związane. Wystarczy wspomnieć pątników, od królowej począwszy, pielgrzymujących tłumnie do grobu „świętego męczennika" Jana Jakuba Rousseau i roniących najprawdziwsze łzy przy jego „relikwiach" — tabakierce, czapce, pantoflach... Pielgrzymowanie jest tak przemożną potrzebą człowieczeństwa, że, jak wszystko, co naturalne i szlachetne samo w sobie, łatwo wyrodnieje w dziwactwo i nadużycie. — Św. Bonifacy I., za którego czasu zmarł św. Hieronim, musiał znieść tzw. wigilie świętych, pobożny zwyczaj gromadzenia się nocą wiernych przy ciałach męczenników, gdyż powoli wigilie zmieniły się w gorszące zabawy.

* * *

Pielgrzymki w znaczeniu chrześcijańskim zrodziły się w Palestynie. Od najdawniejszych czasów przybywali tu zewsząd wierni, aby uczcić uświęcone życiem i męką Pana miejsca, które zaczęto nazywać Miejscami Świętymi. Niektórzy zostawali tu aż do śmierci Ci zaś, którzy wracali do stron rodzinnych, nie zapominali już odtąd przeżyć, jakich doznali na śladach Zbawiciela. Ich opowieści pociągały innych i tak zaczął się ów gigantyczny ruch średniowiecza nie tylko religijny, ale kulturalny, społeczny, gospodarczy: migracje pielgrzymów. Przecież i wyprawy krzyżowe mają swe źródło w konieczności zaspokojenia pobożnego głodu widzenia i przeżycia Miejsc Świętych. Od dawnych też czasów przyciągały pobożnych pątników relikwie męczenników, a potem wogóle świętych. Z resztą Kościół nakładał jako pokutę odbycie pielgrzymki do miejsc wsławionych grobem świętych, w późniejszym zaś średniowieczu, pod wpływem zakonów żebrzących zaczną się pielgrzymki do przybytków maryjnych.

Z każdego punktu na ziemi jednaka jest droga do nieba. Wszystkie miejsca, nawet najszacowniejszymi relikwiami i cudami wsławione, nie działają same z siebie. Żadna ich moc bez tego cudu cudów, którym jest Jezus codzień zstępujący na ołtarze i łaska przemiany duszy przez spowiedź. A chleb i wino nie są skuteczniej przemieniane w Jerozolimie niż w barakowej kaplicy obozu i święty nie przeistacza ich prawdziwiej, niż najniegodniejszy z kapłanów.

To prawda. A jednak jest miejsce osobliwe, „przewyższające wszystkie piękności tej ziemi" nie dlatego, aby stąd do nieba było najbliżej; nie dla najczcigodniejszych kościołów, pamiątek, relikwij, lecz dlatego, że jest w nim tron Piotra Żyjącego: — Rzym, „panujący światu, wszystkich miejsc najsławniejszych Stolica". Rzym, centrum Kościoła i centrum świata, nawet tego, który o tym nie wie, nawet tego, który go nie chce. „Totus orbis, id est Ecclesia" — pisze jeden ze scholastyków: „cały świat, to znaczy Kościół", a jego Głowa widzialna, Papież, jest ojcem wszystkich ludzi, całej odkupionej ludzkości, mający klucze królestwa niebieskiego. Rzym, miasto przez Boga wybrane, w którym — widzialnie — Chrystus zwycięża, z którego króluje i rządzi Ojciec. — W jednym z kazań Bossuet mówi zdumiewające słowa o Chrystusie, który „nas w Sobie nosi; jesteśmy (...) bardziej Jego ciałem, niż ciało Jego własne". Otóż to można powiedzieć i



PIUS XII, PIOTR ŻYJĄCY

HYMN

Z I NIESZPORÓW NA DZIEŃ ŚW. PIOTRA I PAWŁA

Wspaniałe światło wieczności zalało
Błogosławiony dzień, złocisty ogniem,
Który Książąt Apostołów wieńczy,
Drogę grzesznikom torując ku gwiazdom.

Ziem nauczyciel i nieba odźwierny,
Ojcowie Rzymu i sędziowie ludów,
Ten przez miecz, ów przez krzyż triumfujący,
W wawrzynach siedzą w zgromadzeniu życia.

O ty szczęśliwy Rzymie, który jesteś
Krwią uświęcony czcigodną dwóch książąt.
Purpurą żył ich oblany, sam jeden
Przewyższasz wszystkie piękności tej ziemi.

Wieczna cześć, chwała, moc, wesele
Błogosławionej świętej Trójcy,
Która w jedności wszystkim rządzi
Przez nieskończoność wieków. Amen.

* * *

V. Na całą ziemię rozszedł się ich głos
R. I na krańce świata ich słowa

II Nieszpory

V. Opowiadali o czynach Bożych.
R. I zrozumieli działanie Jego.

(Autorką Hymnu jest Elpis żona słynnego filozofa V wieku Boecjusza)

o Papieżu. Dopóki katolik nie zda sobie sprawy — z całą gorącością przejęcia się tym faktem — że to j e s t Ojciec, a my dzieci, a równocześnie, że Papież jest sakramentem Chrystusa, bo Go nam przedstawia („kto patrzy na Papieża ,patrzy na Chrystusa"), dopoty wiara jego będzie niepełna. Będzie to mniej lub więcej naturalizm, jakieś sentymentalne chrześcijaństwo poza Kościołem, chybiona próba oddzielenia Chrystusa od Jego Kościoła. „Gdzie Papież, tam Piotr, gdzie Piotr, tam Kościół, a gdzie Kościół, tam Chrystus" — zdanie, którego nie przestajemy powtarzać. Papież to Ojciec i bardziej ciałem Jego jesteśmy, niż ciało jego własne.

Uczestnicząc w uroczystościach u św. Piotra, kiedy do Bazyliki „schodzi" Papież, jakże radośnie odnajdujemy w sobie dziecko w domu Ojca. Jeśli się nie staniecie jako dzieci... Może też nikt nie wyraził wdzięczniej rodzinnego nastroju tych audiencji, jak niedawno owa czteroletnia dziewczynka, która z całą prostotą krzyknęła Ojcu: „Ti conosco", „znam Ciebie". — Z ust niemowląt i ssących doskonałą uczyniłeś chwałę.

Nie ma tu nic z wrażenia czczej pompy, „potęgi", jaką się otaczają władcy tego świata. Człowiek dzisiejszy ucieka od jej ohydnej dekoracji i nie chce być cząstką ryczącego tłumu, zaciskającego kułak na komendę, na komendę podnoszącego rękę, wyjącego podpowiadane przez wodzów slogany, bezmyślnego, „zwartego i gotowego".

I nic z wrażenia „karnej masy". Wszyscy jedno tu jesteśmy, a każdy jest najdoskonalej sobą, za cenę miłości wolny swobodą synów Bożych. Boży jest ten Dom. „Terribilis est locus iste", „straszliwe jest miejsce to", lecz dzieci mają swoje prawa. Prawa dzieci właśnie. Toć to także — ich dom. A więc dzieci, bardzo dorosłe dzieci, posilają się pomarańczami, bananami (po kanonizacji i po audiencji posadzka Bazyliki gęsto usłana była skórkami owoców...). Ten czy owa pociągają vermuthu dla wzmocnienia. — „Poche gocciole, soltanto poche gocciole" oferowała życzliwie zakonnica, podając mojej żonie buteleczkę: „parę kropelek, tylko parę kropelek", zaspokoiwszy przed tym swoją ciekawość wiadomością, żeśmy „profughi polacchi", uchodźcy polscy.

— Poverini, poverini! Vanno direttamente da Londra! Noi lo sapiamo, i Polacchi sono i migliori cattolici. (Biedusie, biedusie! Jadą prosto z Londynu. O, my wiemy, Polacy są bardzo dobrymi katolikami).

— E devotissimi al Santo Padre, dodaje młodziutki ksiądz. (I tak oddani Ojcu Świętemu). Otacza nas odrazu życzliwe kółko, gęsto padają pytania, słychać bardzo serdeczne słowa o Polsce i Polakach, mile wspominają polskich żołnierzy. Ksiądz uprzejmie wręcza mej żonie lornetkę, aby lepiej mogła przyjrzeć się Ojcu świętemu i złotej tiarze leżącej na ołtarzu papieskim.

Wszystko to dzieje się w czasie kanonizacji dwu założycielek zgromadzenia Córek Miłosierdzia im. Dzieciątka Marii: Bartłomiei Capitanio i Wincenty Gerosa, obok konfesji św. Piotra. Kiedy w imieniu prokuratora kanonizacji kardynała Micara zbliżył się do tronu papieskiego adwokat konsystorialny z prośbą o wygłoszenie formuły, „nasz" ksiądz był pełen napięcia. Przejęty i zdenerwowany tłumaczył, że gdyby teraz ktokolwiek z obecnych w bazylice zaprotestował, cały ryt musiałby zostać natychmiast przerwany. Dopiero gdy Ojciec św. wygłosił solenną formułę wpisania Bartłomiej i Wincenty do katalogu świętych „na cześć Świętej i Niepodzielnej Trójcy, dla wywyższenia wiary katolickiej i pomnożenia religii chrześcijańskiej, władzą Pana naszego Jezusa Chrystusa, błogosławionych apostołów Piotra i Pawła i Naszą", sympatyczny ksiądz uspokoił się i z ulgą powtarzał: „Sono sante, già sono sante!", klaszcząc potem i krzycząc „eviva". Z resztą oklaski i radosne okrzyki zerwały się w całym kościele.

Zaczął nam na głos tłumaczyć homilię na cześć nowych świętych. Gdym mu podziękował, mówiąc, że rozumiem, co Ojciec św. mówi, poklepał mnie hucznie po plecach. Miejsca, które mu się szczególnie podobały, przyjmował pełnym współprzekonania kiwaniem głowy, robiąc przy tym porozumiewawcze „oko", co miało znaczyć: — Umie ten nasz Ojciec przemawiać, no nie?

Po oracji o nowych świętych i homilii, śpiewa się Confiteor dodając po imionach Apostołów, imię świętego, który dziś został kanonizowany. Confiteor śpiewał staruszek kardynał diakon N. Canali, który nie ma ani słuchu ani głosu. Już po kilkunastu neumach głośny szum półśmieszków przeleciał bazylikę. Zakonnice, księża, wierni czuli się wyraźnie ubawieni, a nasz ksiądz wykrzyknął z przekonaniem:

— Eh! Papa canta meglio! (Eh, Papież śpiewa lepiej!)

Nic dziwnego, wiadomo, że w oczach dzieci ojciec zawsze potrafi wszystko najlepiej! Ale tym razem nie ma w tym przesady. A już kiedy Papież mówi, (wybijając litery m i r), wzrusza nas jego głos o żywym młodzieńczym brzmieniu, czysty i jasny w tonie.

— A teraz, informuje nas niestrudzenie, Papież udzieli błogosławieństwa. Każdy, kto uczestniczy w czasie aktu kanonizacji, otrzymuje wtedy odpust zupełny.

Rzeczywiście. Po chwili kard. Tisserant zapowiada błogosławieńwieństwo Ojca św. wraz z odpustem zupełnym, dodając, że do każdego odwiedzenia grobu świętych przywiązany zostaje odpust lat dziesięciu.

Zdążyłem się też od księdza dowiedzieć, że z czworga osób, które doznały cudów, potrzebnych do kanonizacji, troje jest właśnie w bazylice oraz, że należy patrzeć uważnie, jak w czasie Offertorium przed tron papieski pójdzie „col consueto cerimoniale" malownicza procesja z symbolicznymi darami dla Ojca św., niosąc świece, chleb, wino, wodę i zamknięte w złoconych i srebrnych klatkach turkawki, gołębie „ed altri uccellini" (i inne ptaszki).

„W d o m u Ojca". To chyba jest to, o co chodzi. Sama bazylika największy przecież kościół świata, jasna, pogodna, wesoła, przedziwnie skrywa swój ogrom. Trzeba sobie dopiero ‚na siłę', na ‚rozum' tłumaczyć jej proporcje. Jest przytem jakaś radosna w swej zwyczajności, nie panuje nad człowiekiem, nie przytłacza, dodaje otuchy. Zwyczajne bowiem jest życie człowieka, a dom Boży jest przecież **dla** ludzi. Wystarczy palcy u jednej ręki, aby policzyć jej arcydzieła. Wiele za to w niej dzieł przeciętnych, wiele tylko dobrych. Jest też, jak życie każdego z nas, wciąż w budowie, wciąż „niedokończona".

W orędziu wigilijnym zapowiadając Rok Święty Pius XII z naciskiem podkreślił, że nie będzie to hałaśliwa manifestacja, ani pretekst do pobożnych rozrywek, ani chełpliwy przegląd sił katolickich „w znaczeniu przyjętym przez świat, który pomyślne wyniki ocenia według chwilowego uniesienia tłumów". Rok Święty, mówił Papież, winien działać potężnie i głęboko, jako rok wielkiego powrotu i wielkiego przebaczenia.

I tak też przeżywają go wierzący. Nie jest to spęd „karnych tłumów" dla demonstracji „siły". Bonifacy VIII, papież pierwszego Jubileuszu, któremu z ducha czasów roiła się potęga zewnętrzna Kościoła, po chwilowych triumfach, poniżony, zelżony, głodny, stał na rynku Anagni, żebrząc o kawałek chleba i kubek wody. Tak potęga jak i powszechność Kościoła nie mierzą się w cyfrach ani geografią. (O. de Lubac). „Było ich tylko dwunastu, a już byli Kościołem katolickim", uniwersalnym, powiada Lacordaire.

Tę inną, wewnętrzną siłę Kościoła, którą jest Chrystus, dostrzegają i innowiercy. Raymond Mortimer, opisując z szacunkiem w „Sunday Times" audiencję w bazylice św. Piotra, mówi o wrażeniu, jakie wywarł na nim Pius XII, dodając: „pewien protestant, który go dobrze zna, pisze o nim do mnie jako o świętym". Rozdział ten zatytułowany jest „A saintly Pope". W jednym z najpoważniejszych dzienników amerykańskich w artykule wstępnym, poświęconym Rokowi Świętemu, czytamy m. i.: „Obchodzony w 1950 Rok Święty przypada w krzyżowym momencie historii świata. Nawet w długich dziejach Kościoła katolickiego, który, jako dostojna instytucja, przywykł patrzeć na zdarzenia codzienne z perspektywy stuleci, ta chwila, ta sekunda w życiu człowieka na tej planecie, została uznana za krytyczną. Zjednoczenie w powrocie do Chrystusa i zasad chrześcijańskich jest główną nutą tego Roku Świętego.

Ludzie dobrej woli wszystko jedno jakiej wiary nie znajdą trudności w przyłączeniu się do wspólnej modlitwy, aby ludzkość całego świata rozważyła, czy zastosowanie zasad chrześcijańskich (...) nie mogło by nas uratować od wspólnego nieszczęścia".

W naszej pielgrzymce znalazły się trzy Brytyjki, protestantki: Wszystkie trzy zawiadomiły kierownika pielgrzymek, że pragną być przyjęte na łono Kościoła. Polski kapłan zajął się w Rzymie Anglikiem, który znalazł się w Wiecznym Mieście bynajmniej nie w celu zwiedzania kościołów. Wystarał się o przewodnika, zaprowadził też do św. Piotra w czasie audiencji, po której ów Anglik płacząc, całował ręce księdzu. Dziękował tak nie za to, co mu przez trzy dni pokazywał przewodnik: dziękował za widok drobnego, ascetycznego, uduchowionego Starca, który niesiony przez kościół, ponad głowami ludzi, z uśmiechem miłości i serdecznej pokory błogosławił wszystkim...

Jan Tokarski

O ROMA NOBILIS

O Rzymie szlachetny, panujący światu,
Spośród miast wszystkich najsławniejsza Stolico.
Ty, co jaśniejesz purpurą męczeństwa
I białą lilią dziewic świetlistych,
Dzisiaj ci hołd niesiem za wszystko
I błogosławieństw słowa: trwaj na wieki!

Piotrze, przepotężny Kluczniku niebios,
Wysłuchaj szczerze życzeń ci składanych,
A gdy zasiądziesz na sąd pokoleń wszelkich
Stań się łaskawym, w sądzie miłosiernym;
A gdy cię teraz prosimy tu, na ziemi,
Zjednaj nam litość i zmiłowanie.

Pawle znamienity, pogromco mędrców płytkich,
Przyjm nasze modły, co patrzym na ciebie.
Tyś w Pańskim domu stał się zarządcą,
Poprzyj Boskim darem nasze mdłe błagania,
Abyśmy tą samą, co ty słyniesz, Mądrością
Napełnieni się stali dzięki twym naukom.

Wolny przekład z łacińskiego: X.B.K.

(Hymn z XI wieku odnaleziony w Watykanie przez G. H. Niebuhra)

CO PROTESTANT DOJRZAŁ W RZYMIE?

KONSERWATYWNY dziennik angielski „The Daily Telegraph" wysłał do Rzymu korespondenta w osobie swego eksperta wojskowego, gen. H. G. Martina, który wyłuszczył teraz swoje spostrzeżenia w artykule „R o k ś w i ę t y i z i m n a w o j n a".

Artykuł jest obszerny; większą jego część stanowi opis uroczystości w Rzymie, tłumów w bazylice św. Piotra, udzielania błogosławieństwa przez Ojca świętego itd. pokrywający się z tym, co czytelnicy mogą przeczytać na łamach pism katolickich. Najciekawsze jednak są zawarte w artykule wnioski.

Podajemy poniżej dwa urywki, jeden ze wstępu, drugi z zakończenia artykułu.

„Wkrótce przed wyjazdem do Włoch miałem sposobność być słuchaczem rozmowy na temat wojny politycznej, rozmowy prowadzonej przez trzech nadzwyczaj dobrze poinformowanych ludzi, do których obowiązków zawodowych należy dobrze znać poglądy trzech środowisk: Labour Party, Foreign Office i brytyjskiego radia.

Polityka, na której rzecz się opowiadali, nie budziła wątpliwości: trzeba podtrzymać nadzieję w krajach za żelazną kurtyną, trzeba popierać rozmaite tamtejsze ośrodki oporu, jednak bez popychania ich do przedwczesnej akcji; trzeba w krajach dotąd wolnych stwarzać warunki, nie sprzyjające szerzeniu się komunizmu.

Po jednej, czy dwuch godzinach rozmowy, ujawnił się jednak jeden zastanawiający fakt: wszyscy trzej kompletnie nie brali w rachubę faktu istnienia chrześcijańskich Kościołów, wszystko jedno, po tej, czy po tamtej stronie żelaznej kurtyny. Dla nich, Kościoły zachodnie, — niech nam będzie wybaczone, że wogóle pominiemy rosyjską cerkiew prawosławną — tak jakby nigdy nie prowadziły walki przeciw totalizmowi w jakiejkolwiek postaci i w jakimkolwiek kraju. Dla nich, arcybiskup Stepinac, kardynał Mindszenty, pastor Niemoeller i tysiące innych, to tak, jakby nig... nie doznali żadnych cierpień.

Mój protest, że społeczności chrześcijańskie poza kurtyną z pewnością zasługują na to, by im przyjść z pomocą, nie spotkał się nawet z cieniem aprobaty. Kościoły nie mają przyszłości, odpowiedziano mi; czasy wiary przeminęły; jest niepodobieństwem znów ludziom wbić w umysły chrześcijańskie wierzenia; a już w szczególności Kościół rzymski jest złamaną trzciną".

A teraz zakończenie.

„Tu. w maleńkim Assyżu przypływy i odpływy Roku Świętego są jeszcze wyraźniej widoczne, niż w samym Rzymie. Codzień i przez cały dzień pielgrzymi ze wszystkich stron przyjeżdżają i odchodzą nie kończącą się rzeką, autobusami, lub na piechotę; między autobusami zauważyłem dwa, które przybyły prosto z Birmingham. I tu również, w hotelach, schroniskach, klasztorach, każde łóżko jest zajęte; ba! pielgrzymi obozują na polach.

Gdy patrzałem na te liczne i żarliwe rzesze, przybyłe ze wszystkich kątów świata, — z Kanady i Stanów Zjednoczonych, z Australii i Nowej Zelandii, z Ameryki Południowej, z Chin i z Indyj, z Sudanu i z Afryki Wschodniej, ze wszystkich krajów europejskich, skąd możliwe jest jeszcze swobodne podróżowanie, — zdałem sobie sprawę, jak bardzo błędne były poglądy wypowiedziane wobec mnie przez owych ekspertów od politycznej wojny.

Czasy wiary zgoła nie przeminęły; siła, która potrafi sprowadzić do Rzymu tak poważny odłam owych 400 milionów rzymskich katolików, stanowiących przecież piątą część ludzkiej rasy, nie jest siłą zużytą.

To prawda, że państwo nie może stworzyć chrześcijan na rozkaz. Ale także i ogrodnik nie może kazać rosnąć nasionom. Co jednak i państwo i ogrodnik mogą i powinni zrobić, to stworzyć, by warunki były sprzyjające do wzrostu — nasion w glebie i wiary w narodowych szkołach. Chrześcijaństwo jest wciąż najpotężniejszą obroną godności ducha ludzkiego. Gdyby Stalin miał zawrzeć konkordat z Watykanem, to musiałby wpierw zrezygnować ze stalinizmu.

Miejmy nadzieję, że ci, co planują nową ofensywę ideologiczną, nie zapomną o lekcji, jaką nam daje Rok Święty".

Jak widzimy, pobyt w Rzymie zrobił na autorze duże wrażenie. Prawdopodobnie, nie nawrócił go na wiarę katolicką. Pokazał mu jednak, że Kościół katolicki jest żywy i potężny siłą żarliwej wiary.

PROŚBA O ADRESY ARTYSTÓW

Polska sztuka religijna z lat 1900 — 1950 zostanie pokazana na Wystawie Sztuki Religijnej w Rzymie.

Ktokolwiek by wiedział o polskim artyście mieszkającym poza granicami Polski — proszony jest o podanie adresu artysty.

Również uprasza się o wiadomości o polskich dziełach sztuki religijnej z lat 1900 — 1950, znajdujących się poza Polską — (malarstwo, grafika, rzeźba, ceramika).

Listy łaskawie kierować pod adresem:
Italia, Roma, Piazza Remuria 2-A, Collegio Pollaco.

WITOLD RAWSKI

DWA LISTY I NIEDOKOŃCZONY KOMENTARZ

MEMU przyjacielowi Pawłowi, który w czasie wojny zaznał ubogiego życia, uśmiechnął się nagle dobry los. Lepszy los. Lat dziesięć jakby zschedł w pączku, jak by trwał w uśpieniu, gdy naraz szczęśliwa gwiazda zaczęła go prowadzić ze stolicy do stolicy, po wszystkich niemal krajach świata i pączek zaczął się przedziwnie rozwijać. Przedziwnie — bo bez wrażeń książkowych, bez nałogów i szablonów, bez wyobraźni, przeciążonej balastem cudzych pojęć i czyjegoś słownictwa, ulepionego jak gałki chleba przez inne ręce. Rozum, dusza i rzeczywistość dostrzegane po raz pierwszy.

Pisze teraz z Włoch:

,,Cudownie udała mi się wyprawa do Italii. Tak się pięknie złożyło, że mieszkałem za darmo u zacnych ludzi, a łącznie z drogą wydałem mniej, niż gdybym mieszkał przez ten czas w innym mieście uniwersyteckim. Ganiałem po Rzymie blisko trzy tygodnie, cztery dni spędziłem w Sjenie, też u znajomków, a dzień we Florencji. A oto me wrażenia ,z przyrzutu': Toskania — to rewelacja, Rzym natomiast to decepcja. Wstyd się przyznać, widocznie nie umiem patrzeć na te rzeczy jak należy. — Chodzi mi o Rzym jako całość: o wrażenie estetyczne. Cudów w nim mnóstwo, lecz zgubionych w szarej krzykliwości dnia codziennego.

,,Za to Rzym każe myśleć. I może dlatego także i doznania estetyczne ulegają refleksjom rozumowym. Boć chyba nigdzie tak, jak w Rzymie nie widzi się znikomości spraw doczesnych i nigdzie w podobny sposób nawarstwienia dziejów minionych nie sprowadzają do wspólnego mianownika tylu aktualnych zagadnień, które niepokoją nas wagą i znaczeniem — a tu wydają się proszkiem do zębów starej cioci Historii.

,,Rzym, a właściwie włóczęga po nim uczą perspektywy w patrzeniu na teraźniejszość. I czegoś na kształt bezosobowej, obiektywnej postawy w ocenianiu spraw istotnie nas dotyczących.

,,Rzymskie dumania działają kojąco na bieżące zadry. Nareszcie — a tak rzadko w życiu, człowiek ma sposobność otrzeć się zmysłami (niejako fizycznie) o prawdy abstrakcyjne. A wszak wielka to rozkosz dotknąć się Prawdy i jej niewzruszonej pewności.

,,Natomiast Sjena i Florencja to bajka chwytająca, jakże mocno, za serce. Sądzę, że dlatego, iż zakrzepła i cudownie zabalsamowała się kropla czasu pełnią prawdy i świeżością chwili w oderwaniu od ciągłości czasu. Jeśli więc Rzym stanowi lekcję poglądową abstrakcyjnych, uniwersalistycznych uogólnień, Toskania uczy czym jest rzetelna prawda artystyczna, bezpośrednio dostępna przez zmysły..."

(Zbędne chyba jest podkreślać, że w tych wypowiedziach młodego filozofa i do tego jeszcze tomistycznego, ,,zmysły" nie znaczą tego samego, co w dzisiejszym codziennym słownictwie filmu, powieści, czy teatru. W tym słownictwie — ,zmysły' to strona moralna, zaćmiona przez ,krew i ciało.' Obniżenie, pociąg w dół. Tu zaś ,zmysły' znaczą przesyłanie mózgowi oraz wnętrznym urządzeniom duszy ludzkiej refleksji, gry i wrażeń oka, ucha itd. — organów doprowadzających do myśli materię poznawczą).

Toskania. Kraj Danta, kraj Savonaroli, kraj Fra Angelica, św. Katarzyny Sjeneńskiej, żeby nic już nie mówić o innych świętych, o malarzach, artystach różnej profesji, poetach, wodzach, myślicielach i wędrownikach. Kraj zespołów pieśni, niezachwianego krajobrazu, niepoprawianej architektury, kraj fresku, gdzie widzenia wewnętrzne, przeżycia oczu, co chłoną i tych, co kierują ubieraniem doznań w kolor malarski, czyn życia, architektury, wiary i Stwórcy zlewają sią w jedną wielką nie przemijającą symfonię. Na Toskanię, na pobliską Umbrię trzeba by specjalnego artykułu. Poprzestańmy jednak na tym, co Paweł pisze o Rzymie. Jakże dobitnie, lapidarnie i prawdziwie rzeczywistość rzymska oblekła się w myśl i słowo!

,,Tak! Doskonale czuje Pan Rzym, odpisał Pawłowi nasz wspólny przyjaciel Kazimierz. Krótko i prawdziwie! Tak! to wrażenie decepcji, gorzkiego jak gdyby nawet zawodu, bardzo jest charakterystyczne, szczególniej może dla tych, którzy nie dają się podciągnąć pod bazarowy kalejdoskop pewnych organizatorów wrażeń. I ja doznałem tych samych wrażeń. I to dwukrotnie w odstępie dwudziestu lat. Rzym można polubić dopiero po powolnym zagnieżdżeniu się w nim. Po długim, a może czasem po jak gdyby niezbyt wygodnym i bolesnym pobycie. Rzym bowiem jest zimny; niemal odpycha swą atmosferą nieproszonego w gruncie rzeczy przybysza i najzupełniej jak gdyby ,,obcy", to znaczy, że nikogo nie potrzebuje u siebie i jak najserdeczniej bez naszych odwiedzin się obywa. Raz jeszcze: mówię tu o *radiacji murów*, że się tak wyrażę. Jest przy tym ruiną. Żyjącą i kwitnącą ruiną, bo ostatecznie wszystko w nim w ruinie lub ruiną zacieka. Jest jakimś rodzajem dziwnej pustyni. Jest to jeden z paradoksów Rzymu, jedna ze sprzeczności rzucających się w oczy i rzeczywiście zmuszających do myślenia. Nie wyobrażam sobie, by pobyt w nim mógł być tym, co się nazywa ,,kojącą rozrywką". Zmiany, zaprowadzone w urbanistyce przez Mussoliniego, jeszcze bardziej, być może, podkreślają tę rękę śmierci przez zniszczenie tylu żywych jeszcze, po ludzku kolorowych zaułków. Wydobywanie starego imperium, pominąwszy zasługi archeologiczne, stało się nowym pasmem śmierci i pustkowia w tym dziwnym Grodzie, Osiedlu, czy Rozsiedlu człowieczych dziejów.

,,Dzięki Mussoliniemu dojście do Watykanu zrobiło się dla mnie naprzykład, wprost ohydne, jakieś piaskowo - piażowe, a było pełne niespodzianki przed tym, gdy ktoś z natłoku domostw i względnej rozległość piazza Scosso Cavalli wpadał na kolumnadę i plac św. Piotra...

,,Właściwie — tak mogło by się wydawać — Rzymowi na niczym nie zależy. Wszystko ma, co zasadnicze. W przeszłości et in futuro seculorum — w przejrzystości wieków przyszłych. A potrzeba mu względnie bardzo mało do przetrwania i to ze sjestą, godziny dnia, która te duże ogromy przeszłości i przyszłości, łączy. I choć tego co ma, na oko jest ostatecznie bardzo nie wiele jako remanentu, najzupełniej mu to do trwania wystarcza. Trwanie wydaje się jego miarą czynu. Ubóstwo Rzymu jest też czymś specjalnym. Ubóstwo rzeczy minionych lub mało już przydatnych. Brak, że tak powiem, arcydzieł twórczych, niespokojnych, pobudzających senność trwania, co też jest ubóstwem.

,,Ruina, obojętność, wzgardliwość i ubóstwo. Daje to wszystko razem jakieś wrażenie dematerializacyjne. Zarazem wrażenie Wschodu. Rzym bowiem w stosunku do tak zwanego dziś ,,Zachodu" jest bardzo wschodni. Zarazem insularny. Oaza, czy wyspa wśród piasków. Ale też i *Lux ex Oriente*. ,,światłość prawdziwa ze Wschodu", ozłaca go. I to jest największą zagadką: skąd się tu wzięło *Centrum?*



Florencja

,,Ta wschodniość i to wyzłocenie jego kamieni, schorzałych nietylko ubrązowiającym słońcem lecz żywą tym razem pieśnią świata Bożego, które tak dyskretnie nieuchwytnie, niematerialnie dźwięczy wśród jego pyłów, nadaje Rzymowi jeszcze jeden dziwny, a zdawałoby się sprzeczny z poprzednimi rysami aspekt: aspekt familijności. Zupełnie obce tu wszystko (nie dlatego, że włoskie, ale że rzymskie), a zupełnie codzienne, przeto rodzinne, własne. Lecz obie te melodie zlewają się w całość jakby nagrywane z dwóch odrębnych kluczy violinu i basu, lub może z innych, nieznanych..."

Tak pisał Kazimierz Pawłowi. I czytał nam na głos:

,,Szczególne wrażenie decepcji i...

— ,,I linii"! — dorzucił siedzący przy stole towarzysz mój, Franciszek à Paolo. ,,Nigdzie chyba. (mówił dalej) nie ma tyle abstrakcyjnej linearności monumentalnej, co w Rzymie. Nie mówię tu wyłącznie o architekturze. Nie! Linearność krajobrazowa, wrażeniowa... Linearność unoszącego się nastroju. Powiedziałbym: bytu. Bo właśnie w ten sposób dotyka się bytu... Jakaś geometria, rozsnuta na powietrzu. Jakieś założenia niezmienne, niezależne od wszystkiego swym sensem i sprawdzeniem, swą prawdą istnienia. Coś, czego nigdy, nigdzie nie widziałem.

,,Ludzie chodzą w tym i naokoło tego a nie zdają się tego dostrzegać. Nie widzą tego, co *jest*. Bo zwykli szukać fenomenu. Wydarzenia, zmiany, sensacji. Doznania szczegółowego. Koloru chwili. Siadywałem tak godzinami w Rzymie, nie patrząc specjalnie na nic w szczególności, lecz chłonąc tę linearność. Czar nieskończoności".

Tak przemówił człowiek, wychowany na matematyce i mechanice. Człowiek, który zwykł żyć i pracować w załamywaniach się linii. Kazimierz, historyk, coś może w rodzaju historyka, czy historyka mistyki, czy może mistyka historii. (kto go tam ostatecznie odgadnie?), mówił raczej intuicją wrażliwości serca, któremu jednak nie obce psychiczne cementy, co łączą i urabiają naturalną barwę i prężność kamieni i rzeczy. Paweł zaś, powtarzam, filozof dorosły, ale jak gdyby świeżo z mojżeszowego koszyka obudzony. Jak gdyby go ta czarodziejka, Faraonówna wieków — Myśl — ocknęła już w pełni sił z dziecięcego schowania wśród trzcin i sitowi rzeki życia, gdzie czekał zaczarowany, lecz żywy.

I wszyscy trzej ostatecznie powtarzają to *samo*: Decepcja — dla hałasu, którego pożądamy, dla tryumfalnych nastawień i wyczekiwań ziemskiego raju i odchylonych drzwi nieba, ziszczeń bajkowych, jak gdyby gigantycznego Milk -Baru wszelkich słodyczy podniebieniowych, jeśli nie podniebnych. Oczywiście, używam tu metafory. Porównania podniebienia fizycznego z tym innym, bardziej psychicznym pożądaniem smaczków. Pustynia, a więc nierealność, — ubóstwo, którego treścią to, że właściwie nie ma dostatecznej ceny; rzeczy nie są bogactwem, bo ani sprzedać, ani ich nabyć. Oschłość jakaś i samowystarczalność w sobie, — familijność rzeczy przyznanych, kochanych i znanych — stek zawodów i linearność żyjącej abstrakcji.

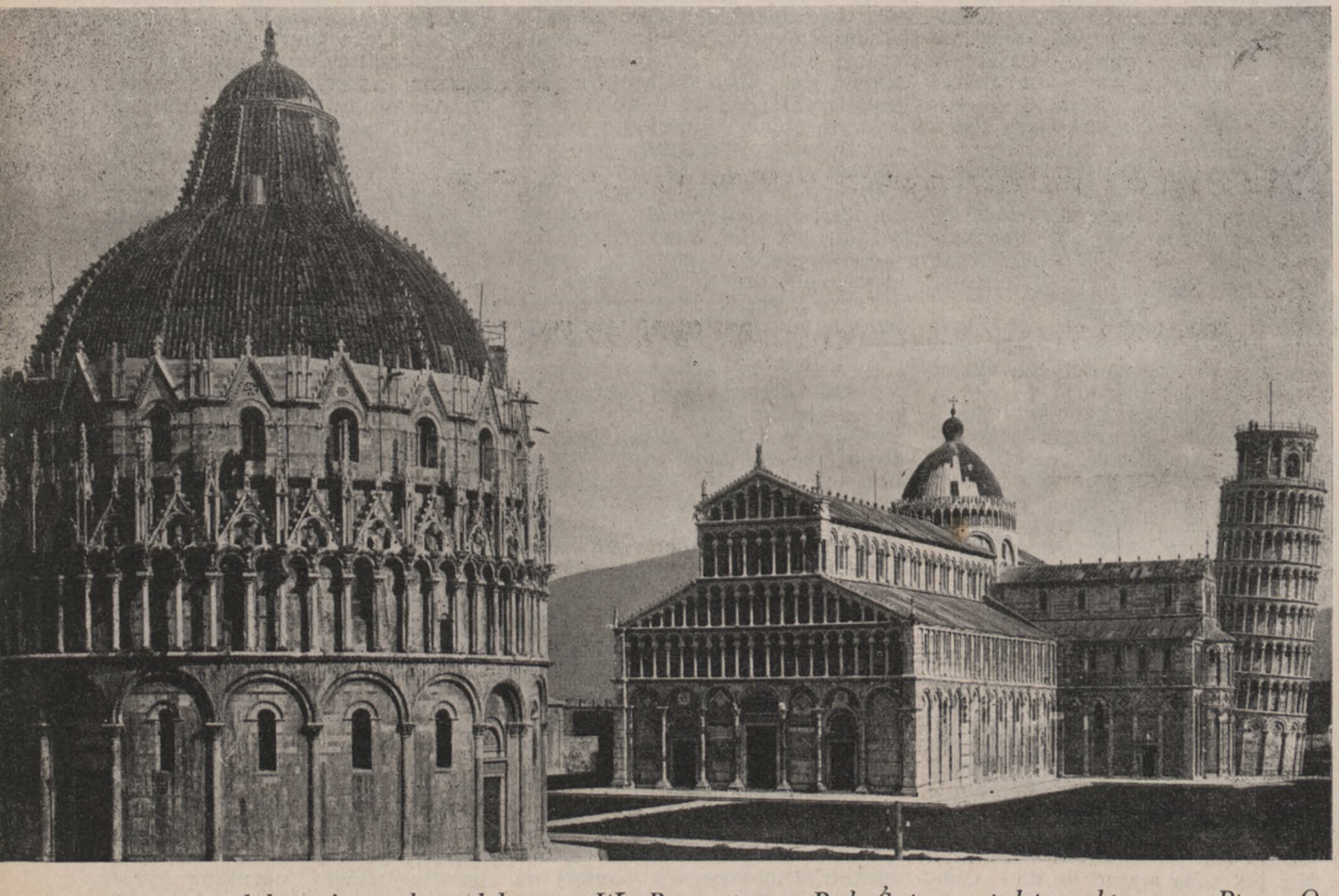
Wszystko to razem, co mówili Franciszek, Kazimierz i Paweł, zsumuję jednym słowem — *transcedentalność*, ale tak subtelna jak mowa, czy głos milczenia. Wśród zupełnego zawodu nie tylko nas samych lecz Miasta. Samego Rzymu. Ostatecznie, zawsze wszystko je zawiodło i znikło. A jednak Jest. Co i kto jest? Jest ,Jest': ,Jestem' jest. ,Ten Sam jestem...' i jest. Przypomina się gorejący Krzak na pustyni (drugi raz, wkraczają tu dzieje Mojżesza). Płonie i nie spala się. ,Mówi' z niego, z Rzymu a jest tylko krzakiem. I *jest* wszędzie, czy to bogactwo, czy to raczej znikomość trwająca, ubóstwo pustyni. I jest człowiek. Też zawiedziony i dziwny.

,Jestem' (jako imię własne i wyznane) jest.

I Kościół jest. Choć zupełnie inaczej wygląda, niżby ludzie chcieli. I ci pobożni i ci, co Go nie chcą...

Tyle naszej nieskończonej rozmowy z powodu listu, dwu listów o Rzymie, o Rzymie po prostu, jako zjawisku, które istnieje w jednym punkcie ziemi, do którego przyjeżdża się na stację Dei Termini lub samochodem lub na lotnisko — za Via Appia, czy też przez Porta del Popolo na Via del Corso, czy gdzie indziej. Jest to zjawisko niespotykane, irytujące, być może nawet. Takie niesłychanie dziwne, że wypada doń znów powrócić. I ciągle wracać...

WITOLD RAWSKI



Barwny szlak pielgrzymki polskiej z W. Brytanii na Rok Święty wiedzie także przaz Pizę. Oto katedra pizańska i słynna pochyła wieża.

II wydanie
poprawione i uzupełnione
broszury
X. Prof. M. Sopoćki

MIŁOSIERDZIE BOŻE

JEDYNA NADZIEJA LUDZKOŚCI

Cena wraz z przesyłką 1/9 sh
(Pierwszy nakład rozszedł się całkowicie w ciągu niespełna miesiąca).

Broszura zawiera rozprawkę o tajemnicy Miłosierdzia Bożego, opis objawień Miłosierdzia bożego, które miała S. Faustyna Kowalska, jej życiorys, zestawienie niektórych łask, uzyskanych za jej wstawiennictwem, i t.d. oraz modlitwy do Miłosierdzia Bożego, 2 litanie, i t.d.

JAN WINNICKI

W CZASIE JUBILEUSZU PRZED 400 LATY



W czasie Jubileuszu sprzed 400 lat do Rzymu, wyniszczonego niedawnym okrutnym splądrowaniem przez cesarza Karola V, napłynęły liczne rzesze pielgrzymów, dla których zabrakło żywności i schronienia. Wtedy młody wówczas św. Filip Nereusz założył osobną konfraternię, która w tym i następnych Latach Jubileuszowych przygarnęła setki tysięcy pątników.

(Klisza wypożyczona przez O. O. Oratorianów w Birmingham)

NIEMAL każdy jubileusz można nazwać imieniem najwybitniejszej osobistości, która brała w nim **udział lub od największego** zdarzenia z nim związanego. Tak więc pierwszy jubileusz za Bonifacego VIII nazywa się jubileuszem Dantego, następny za Klemensa VI — jubileuszem Petrarki. Jubileusz r. 1500 nazywa się „il giubileo della Porta Santa", gdyż wtedy smutnej skądinąd pamięci papież Aleksander VI kazał zbudować Bramę św. w bazylice św. Piotra i od niego też datuje się zwyczaj wspaniałych ceremonij otwierania i zamykania Lata Miłościwego u „bramy sprawiedliwości", Bramy św.

Rok święty 1550 za Juliusza III przywykło się nazywać jubileuszem Michała Anioła. Daleko jednak słuszniejsza byłaby nazwa jubileuszu św. Filipa Nereusza. Ale o tym za chwilę.

Były wojny, gorzały herezje, wrzały namiętności, wybuchały rewolucje, a Lata Miłościwe szły swoją koleją. Kościół zawsze, jak to trafnie określił jeden z pisarzy francuskich, „zaczyna od nowa": jak ów kapłan, który po rozbiciu szkół za czasów Gambetty, gromadził dzieci zlaicyzowanych rodziców w opuszczonej zakrystii i zaczynał z nimi naukę od odwiecznego pytania: — „A więc kto cię stworzył, mój mały"?

Kościół zawsze robił i robi swoje, jak matka, która ma wszystko w pogotowiu: dom, posiłek, bieliznę, łóżko — wszystko jedno, w co się ‚bawią' jej synkowie. Jubileusze zaczęły się w zawierusze i dalej tak trwają, przerwane raz jeden w historii od 1775 — 1825 r. z powodu zamieszek rewolucji francuskiej (ale było w tym czasie kilkanaście jubileuszy nadzwyczajnych). Nie było też jubileuszu za Piusa IX w r. 1850.

Lecz wróćmy do Lata Miłościwego 1550. Pielgrzymi, *i romei*, jak mówią Włosi, napływali ze wszystkich krajów, pieszo, konno, pojazdami, gromadnie i samotnie. Przeważali, jak zawsze, ci którzy nie błyszczeli pozorami ziemskiego bogactwa. Ubodzy, częstokroć odarci, wymizerowani długą wędrówką o żebranym, pątniczym chlebie. Zalegali dziedzińce klasztorne, place, kruchty i portyki kościołów i bazylik. Nie brak było takich, którzy w Wiecznym Mieście umierali z trudów przebytych i nędzy, którą i dotąd mieli jako codzienną towarzyszkę, a w drodze i obecnie jako dodatkowe brzemię. Któż z nas zresztą — wędrowców wojskowych, Dipisów czy innych egzulów nie wie z doświadczenia jak drogi dalekie ścierają liberyjną uprząż stanowej przynależności, jak pył tułaczy znoi każdego zadając finezyjny ból potrzeb najpierwotniejszych.

W Rzymie z dawna znane były rozmaite fundacje, przytułki, hospicja, „szpitale" dla pielgrzymów. W średniowieczu każda niemal nacja (w ówczesnym bardzo niekiedy zacieśnionym tego słowa znaczeniu) utrzymywała w Wiecznym Mieście własne gościnne domy, nieraz nawet i kilka (jak np. Francja). Z biegiem czasu jednak fundacje te zmieniały swe przeznaczenie lub po prostu okazywały się za szczupłe dla wielkich jubileuszowych napływów. Ale i czasy zmieniały się, zmieniała się struktura gospodarcza, społeczna, zmieniało się i Miasto samo, tak niedawno jeszcze nawiedzone (r. 1527) barbarzyńskim „sacco di Roma" — splądrowaniem przez Karola V, kiedy to liczba ludności ze 100 tysięcy niemal, spadła do 32.000.

W każdym razie we wczesno barokowym Rzymie połowy 16 wieku, w którym zanikła dawna chrześcijańska gościnność, w Rzymie coraz bardziej błyszczącym modnymi pałacami, wznoszonymi przez narastającą oligarchię nuworyszów, ale też pełnym nowych, świeżych jeszcze ruin i pustaci, nie stało miejsca, ni opieki ani nawet myśli o niej dla nagromadzonych pielgrzymów Europy Reformacji i Kontrreformacji. O tej opiece pomyślał dopiero jeden z bohaterów tej ostatniej, Filip Nereusz.

Ten młody wówczas człowiek, pochodzący z Florencji a teraz „osiadły" w Rzymie, niczem właściwie, tak „po ludzku" mówiąc, nie był i niczem się nie „trudnił". Bo czyż modlitwy, a zwłaszcza nocne modlitwy, po świeżo odkrytych katakumbach' można nazwać poważnym zajęciem? Albo spędzanie całych dni na włóczędze po ulicach, po ogrodach i placach, na wiecznym gadaniu, niby nowy Sokrates, z wałęsającą się młodzieżą?

Młody Filip, późniejszy kapłan i założyciel Oratorianów, rzeczywiście marnował czas. A miał do tego jakieś całkiem osobliwe zdolności. Zaglądał do najbardziej podejrzanych zaułków, grał w piłkę z jakimiś niedorostkami, inicjując freblówki, gdzieindziej znów nabierał gości na pobożne deklamacje i koncerty, był wszędzie i nigdzie; był przyjacielem każdego, nie posiadał stanu cywilnego, a stał się jednak w Rzymie niemal wieczystą, bo z górą 70 lat trwającą instytucją; instytucją, której wpływ rozciągał się od tiary do rynsztoków, od łoża samotnej, opuszczonej chorej do świetnych uczelni. Był zawsze uśmiechnięty, zawsze chętny, ochotny, zawsze ze zbytkiem czasu w rękach. I pełen przedziwnych pomysłów. Ten Cyrulik duchowny, ta Gazeta ścienna ale chodząca zarazem, był, zdawało się, w Rzymie i dla Rzymu — miasta, ulicy, domu — tym, czym Rzym i Kościół był i jest dla świata: stałą poradnią i wiecznie gotową gospodą.

Otóż wszędobylski Filip, bezustannie zajęty cudzymi sprawami, które, wszak, nic a nic nie powinny go były obchodzić, gdyby był choć odrobinę poważnym człowiekiem, a nie właśnie Filipem z Konopi, świętym Filipem, zauważył, że rzymska Gospoda Uniwersalna wprawdzie stała, ale brakło w niej, że tak powiem, poduszek i łyżek dla jubileuszowych rzesz. A właśnie wtedy Filip, wielki adorator wielkiego apostoła swej Florencji, Savonaroli, założył jakiś nowy klub piłki nożnej, nie! przepraszam, jakieś chyba setne nic nie znaczące dla ludzi poważnych stowarzyszenie pobożnego tałatajstwa. No, i kazał mu zbierać łyżki i poduszki: — obrazowo mówię. A mówiąc poważniej: stał się aprowizatorem, dobroczyńcą, gościcielem niezliczonych, a niedostrzeżonych w ówczesnym Rzymie okiem miłości bliźniego rzesz pielgrzymich, koczujących powszędy w ubóstwie, upragnieniu, głodzie, opuszczeniu. Innym pozostawił dusze pątników, sam zaś, wzorem Ewangelii, zajął się ciałem i potrzebami wiernych. — Czyż Pan Jezus nie kazał dawać chleba tym, których nauczał?

Wkrótce wynajęty nie wiadomo jakim sposobem dom stał się za mały. Przybył drugi. I tak zaczęło swą na wieki wsławioną działalność Bractwo Pomocy Pielgrzymom*). Filip sam był hotelarzem, pucybutem, myjnogą, kucharzem i innych zaprawiał do tych umiejętności. Niebawem dzieło rozwinęło się ogromnie. Nie starczało „nicponiów i tałatajstwa" do pomocy. Rzecz stała się głośna, nawet modna. Dostrzeżono nagle to, czego z nawyku nie widziano. Spostrzeżono dzieło razem z jego administracją, chorobę wespół z jej metodą leczenia. Zaczęli przybywać dobrowolni pomocnicy, ze świata mieszczańskiego, robotniczego, wyrobniczego, ale także i z patrycjatu i z arystokracji. Zaczęła się szerzyć nowa zaraza: solidarności chrześcijańskiej, społecznej pomocy, czynnej miłości bliźniego, wielbienia Chrystusa mistycznego w najuboższych Jego członkach. Zakasali szerokie rękawy prałaci a i członkowie Senatu Kościoła ścierką przepasywali kardynalską purpurę w posłudze biednym całego świata, zebranym w wielkiej Gospodzie Rzymu. A gdy ognisko rozpłonęło na dobre, przyszedł Ojciec rodziny zobaczyć jak się bawią dzieci: Papież Juliusz III osobiście umywał nogi utrudzonym pątnikom, błogosławił posiłki, darmo rozdawane, sam usługiwał przy stołach. Aż stało się to tradycją, ceremoniałem dalszych jubileuszy, po raz ostatni widzianym bodajże w r. 1825, dopóki Rzym, potem znów przekształcony, był tym starym, omszałym, familijnym Rzymem dawnej niepodległości papieskiej, niesłychanie czarującym, ciepłym, jak twierdzili ci, co go jeszcze pamiętali i znali za czasów Piusa IX. Dziś, za nowej niepodległości Państwa - Miasta Watykanu, znów nowych przeobrażeń, nowych ruin, nowych radości, Pius XII podobno wspaniale rozbudował zaopatrzenie pielgrzymów, po amerykańsku, z rozmachem. Ale jednak w samym tylko roku 1660 ta rzymska, katolicka, miejska „UNRRA", założona przez św. Filipa, własnym przemysłem zaopatrzyła 270.000 pielgrzymów!

Było to dzieło ducha jednego człowieka, za czasów, gdy istniała jeszcze niepodległość osobistej inicjatywy, za czasów, gdy bezużyteczny włóczęga i eksplorator zaułków i zakamarków Rzymu zaczął zmieniać Miasto pogańskiej humanistycznej plutokracji na Rzym nowego uświęcenia.

Na starym sztychu widzimy go, jak umywa nogi świeżo przyjętym do gospody pielgrzymom. Może właśnie takim zza ówczesnej żelaznej kurtyny? Z krajów, ogarniętych potencją Turka lub wojnami i nienawiściami Reformacji?

Wszystko przemija, zmienia się wszystko. Jedno pozostaje: Serce, łaski i dzieje Kościoła, a w nim życie tych, którzy Nim żyją.

Jan Winnicki

**) Właściwa nazwa była Archikonfraternia Trójcy św. Jej dzieło miłosierdzia dla pielgrzymów jest olbrzymie. W British Museum znajduje się druk z lutego 1650 r. zawierający dane z poprzedniego jubileuszu 1625: W owym roku Arcybractwo opiekowało się 24.369 chorymi i zaopatrzyło w mieszkanie i żywność przez 3, 4 lub więcej dni 588.633 pielgrzymów.*
RED.

PIELGRZYMKI SPRZED WIEKÓW

EUROPA średniowieczna pełna była pielgrzymów. Znały ich drogi Anglii (Canterbury, Walsingham), Italia (Rzym, Loreto, Padwa) — żeby wymienić tylko główne z odwiedzanych przybytków — lecz przede wszystkim Francja i Hiszpania. Przez Francję bowiem wiodły 4 główne szlaki do najgłośniejszego w średniowiecznej Europie celu pielgrzymek: do św. Jakuba z Compostella, Santiago de Compostella.

Pielgrzymka do św. Jakuba było to przedsięwzięcie olbrzymie, trwające nieraz do 3 lat. Mimo oddalenia czasów, mimo braku środków komunikacji — (pielgrzymki odbywały się pieszo — czasami konno), nie różniły się zbytnio od dzisiejszych, a niezależnie od pobożnego celu był to także znakomicie rozwinięty, już wówczas przemysł turystyczny... Dlaczegóż zresztą miałyby tak bardzo różnić się od dzisiejszych, jeśli to, co najważniejsze: człowiek, jest jeden i ten sam w czasie i przestrzeni.

Odbywali pielgrzymki królowie i żebracy, święci i grzesznicy, ludzie Kościoła i dostojnicy świeccy, ludzie wybitni, ale i najzwyczajniejsi. Był osobny ceremoniał, były określone przepisy (pątnicy nie powinni zostawać w jednej miejscowości dłużej niż noc), były specjalne odznaki pątnicze i pielgrzymie w zależności od miejsc zwiedzanych.

Ludzie, którzy w pielgrzymkach brali udział, byli jednak tylko ludźmi. Średniowiecze potrafiło łączyć pobożność, szczerą przeważnie, z pewnymi formami, które nas mogłyby dziś nawet gorszyć. Pomijam już to, że w niektórych okresach na skutek pielgrzymek całe połaci kraju dosłownie wyludniały się, że bardzo wielu pielgrzymów przemieniało się w dożywotnich włóczęgów, żyjących na cudzy koszt, opuszczających rodziny, porzucających wszelką pracę, tak, że w późniejszym średniowieczu trzeba było osobnego zezwolenia biskupa na odbycie pielgrzymki. Ale z zasady nie były to kompanie ponurych biczowników, czy ludzi idących w modlitewnym tylko milczeniu lub z pobożnymi śpiewami. Nie potrzeba sięgać aż do „Opowieści kanterburskich" Chaucera, aby sobie uprzytomnić to, co powiedziano wyżej o łączeniu przez nich pobożności z bardzo wielką jak na nasze pojęcia swobodą.

W Anglii, w której tradycyjnie pewne formy życia występowały wyraziściej i plastyczniej, rubaszniej niż w reszcie Europy, mamy także inne teksty, rzucające nam światło i na tę sprawę. Oto z początkiem XV wieku w Shrewsbury niejaki William Thorpe (v. Fr. Gilbert: „**What to see in Walsingham**"?) w gwałtownym kazaniu wystąpił przeciwko pielgrzymkom. Pielgrzymi bowiem, jak twierdził oburzony kaznodzieja, zabierają z sobą „mężczyzn i kobiety umiejących śpiewać rozpustne piosenki, inni zaś mają z sobą kobzy, tak, że w każdym mieście, przez które przechodzą z hałaśliwym śpiewem, z brzmieniem piszczałek, z jazgotem kanterburskich dzwonków, z ujadaniem psów za nimi, czynią więcej rwetesu, niż gdyby tędy odbywał się pochód króla z jego trębaczami i minstrelami". A w dalszym ciągu znajdujemy uwagę, że gdy część pielgrzymów jest poza domem miesiąc, bardzo wielu z nich przebywa na pielgrzymce dłużej niż pół roku „wielkie bajdury, bajarze powieści, łgarze".

Ale arcybiskup Arundel, przed którego sąd dostała się sprawa burzliwego kazania, miał całkiem inny pogląd na obyczaje pielgrzymów:

„Nie daleko ty patrzysz w tej sprawie! Nie bierzesz bowiem pod uwagę wielkiej drogi pielgrzymów, ganisz więc rzecz, która jest pochwały godna. Ja ci zaś mówię, że to bardzo dobrze, iż pielgrzymi mają wśród siebie śpiewaków i kobziarzy. Albowiem kiedy któryś z nich idąc boso, uderzy palcem o kamień i zrani go sobie boleśnie, aż do krwi, godziwą jest rzeczą, że on sam lub jego kolega zaczyna potem pieśń, a drugi wyciągnie piszczałkę, aby przez taką pociechę ulżyć bólowi towarzysza. Z taką bowiem pociechą łatwo i wesoło mogą pielgrzymi znieść drogę i utrudzenie"...

Gdy teraz ze wszystkich części wolnego świata śpieszą pielgrzymi do Wiecznego Miasta, warto przypomnieć garść szczegółów o obyczajach pielgrzymowania sprzed wieków. Opieramy się poniżej na artykule p. Yves Guillot z bogatego numeru **New York Herald Tribune**, wydanego z okazji Roku Świętego. Mówiąc nawiasem: Ten numer protestanckiego pisma (objętości 48 stron ŻYCIA!) poświęcony w całości Latu Miłościwemu jest niezmiernie charakterystycznym dowodem echa, z jakim idea Jubileuszu spotkała się także w świecie odłączonych chrześcijan zachodnich.

Wspomniany artykuł p.t. „Pielgrzymi średniowieczni używali przewodników, podobnych do naszych" oparty jest na przestudiowaniu przez autora jednego z najsławniejszych średniowiecznych przewodników „Książka św. Jakuba". Oryginał znajduje się w Barcelonie, w archiwum korony aragońskiej. „Liber Sanct Jacobi" napisana została w w. XII dla użytku wielotysięcznych pątników idących czterema szlakami z Italii i przez Francję do najsławniejszego miejsca pielgrzymiego tych czasów, grobu św. Jakuba w Compostella, którego sława zaćmiła, przez ... znakomitą, wspaniale zorganizowaną propagandę na pewien czas Jerozolimę i Rzym. Na drogach Hiszpanii było tak tłoczno od wielotysięcznych rzesz pątniczych, jak stwierdzają nawet źródła arabskie, że z największym trudem można się było przecisnąć.

Kiedy mowa o drogach: Europa zachodnia zawdzięcza je w wielkiej mierze pielgrzymom. Ich ślady sięgają aż drugiego wieku, a dla niezwykłego trudu ich budowy, najbardziej zasłużeni i ofiarni konstruktorzy bywali wynoszeni na ołtarze, jak np. św. Dominik z Calzanda i św. Alaumus z Burgos.

Warto tu dodać, że troska o naprawę dróg, o bezpieczeństwo na nich i tp. pojawiała się zawsze przy ogłaszaniu każdego z jubileuszy. Jubileusz poprzedzały też niezliczone listy Papieża do królów i możnych tego świata błagające o zaprzestanie wojen, o ochronę życia pątników, i td. — Jakoś mało zwraca się uwagi na tę stronę Lat Świętych.

Jak dzisiaj hotele dla turystów tak wówczas przy drogach pielgrzymich wznoszono liczne gospody, obsługiwane przez mnichów, a w wielu miejscowościach budowano wysokie wieże (do dziś jeszcze można widzieć taką wieżę w Aubrec w Owernii), na których nocami palono ogień, aby jego światło wiodło pątników przez dzikie pustkowia i wskazywało kierunek do hospicjum.

Lecz wróćmy do „Księgi św. Ja-

JANINA TOKARSKA

NAD „PASSEGGIATĄ"

OBLICZE każdego kraju, to przede wszystkim jego ludzie. A człowieka poznaje się głównie nie w odświętnej szacie nadzwyczajnych wystąpień, lecz w otaczającej go powszedniości.

Wie o tym każdy artysta, a przede wszystkim taki, który ma specjalny dar wnikania w rzeczy zwykłe i z samego ich dna potrafi wydobyć urok. jakiego nikt inny dojrzeć nie umie. Dar pomnażania urody życia przez wykrywanie piękna w powszedniości nie jest sztuką nową, ale kto dokonywa tego z taką pasją i taką magią słowa — jak tego dokazał Jan Bielatowicz w swych szkicach włoskich, nazwanych „Passeggiata" — wart jest zaiste liścia wawrzynu.

Kiedy oczy nasze zwrócone są ku Rzymowi Italii, „Passeggiata" jest jak ów radosny włóczęga wszelkimi siłami dążący do bram Wiecznego Miasta, do słonecznej ojczyzny całego świata, którą pragnie ogarnąć własnymi oczyma i dotknąć własną stopą; jak żarliwy pielgrzym pociągający za sobą braci, by im ukazać rzeczy wspaniałe i radosne, od których usta stają się lutnią, a dusza zwierciadłem praw wieczyście młodych.

* * *

Już w wieku XVI polscy literaci zwracali ku Italczykom swój szczery zachwyt dla ich kultury, rodzicielki kultury polskiej. Jeden z nich w liście do włoskiego humanisty z Florencji, Franciszka Vettori wyrażał dobrze sarmackie uczucia wobec Italii: „Cokolwiek cywilizacji i nauk mamy w Polsce, to wszystko naprawdę zawdzięczamy waszej ojczyźnie, wam i jej uczonym. Te nasiona wasi przodkowie zaszczepiali wraz z religią przodkom naszym, tak, że pierwiastków religii i kultury i nauk nie gdzie indziej poszukiwaliśmy, jak u was, Włochów. U was uznajemy głowę religii, namiestnika Chrystusowego, u was uczymy się szlachetnych umiejętności i wzorów cywilizacji.

Dowodem tego są owe roje młodzieży polskiej, która poprzez tyle narodów i ziem, zlatuje się corocznie do waszych akademij, jak by na jarmark, w celach studiów. Za waszych uczniów się uznajemy, was uważamy za naszych mistrzów i nauczycieli".

Wiele piór polskich śpiewało hymny pochwalne Włochom, wielu sławiło urodę włoskiej krainy. A jednak — mimo Staszyca. Lenartowicza, Odyńca, Kremera, Klaczki, Chłędowskiego, romantyków, Sienkiewicza, Konopnickiej etc., mimo wzmianek i tematów italskich w całej niemal literaturze, nikt z Polaków nie trafił do włoskiego człowieka i naturalnej jego życia dekoracji — gór, dróg, miast, kuchni, wina, w którego bursztynach i rubinach lśni włoskie słońce. tak — jak Jan Bielatowicz.

Może kiedyś, w XVI wieku, Klemens Janik, chłop - księżyk wielkopolski, zmierzał tą właśnie stroną do wykrycia urody Italii. Ale potem to tylko filozofskie rozważania, florenckie rozmowy, ludzie baroku, dwory w Ferrarze, neapolitańskie historie — sprawy uczone i wymędrkowane dzieją się, jakby za biglietto d'ingresso, po zbiorach, galeriach, w muzeach, wśród potłuczonych marmurów. w salach uniwersyteckich, pałacach kondotierów, kościołach...

Lecz ludzie nie tylko prowadzą wojny, modlą się, uczą, piszą, malują, rzeźbią i budują, lecz także jedzą, piją, mieszkają, słowem — żyją. — Są ludźmi...

Kiedy autor „Passeggiaty" zbliża się piórem ku Rzymowi, nie zagłębia się w odmęty historii. w sprawy zabytków, lecz na taśmę swego pisanego filmu puszcza jak Rosselini, żywego, prostego człowieka:

„Gdy pragnie się usłyszeć rytm serdeczny człowieczeństwa, nie ku wieżom tylko trzeba zwracać oczy, ale spojrzeć na fale — na tłum płynący ulicami, przez domy, podwórza, sienie, poddasza, strychy. piwnice, wnęki, schody.

A fale ludzkości są jak fale rzeczne: to jasne, przeczyste, to spienione, mętne, brudne, wyschłe, ciepłe-błogie i zimne-okrutne, ciche i huczące; życiodajne i niszczące; odbijające słońce, gwiazdy i błyskawice; wiślane i wołżańskie".

Brak u nas takich książek, jakich jest cała literatura na przykład w Anglii, zwłaszcza wieku dziewiętnastego, kiedy wprost do dobrego tonu należało napisać (niekiedy i po włosku) — książkę na tematy italskie, niekoniecznie chodząc po utartych szlakach, nakazanych przez odwieczny hołd banałowi, ale często po rozmaitych zakamarkach. przez siebie odkrywanych, gdzie „Cristo si è fermato", jak w Eboli — a pełnych uroku i specyficznej sensacji, narzuconej własnym punktem widzenia, owo charakterystyczne dla Anglika „moqving along".

Czytając „Passeggiatę" odnosi się wrażenie, że autor sam nie dostrzega, jak bardzo jest w niej głosicielem Bożego piękna przez swoje „śpiewanie hymnu pochwalnego życiu" i swoje dowodzenie, iż „świat jest cudną, kolorową bajką", podczas gdy „ludzie odwrócili się od dzieł Bożej ręki i powiedzieli sobie, że jest on zły i pełen cierni".

Spojrzenie artysty pomoże nam dojrzeć wiele piękna wszędzie, ale gra ono szczególną harmonią na ziemi włoskiej, a w „Passeggiacie" muzyką choćby i samych nazw, ujętych w zrytmizowany korowód, złączony np. z drogą Emilia.

„Linia Emilii przekreśla na pół wszystkie leżące przy niej miasta. Obchodzi tylko na palcach Bolonię, nie chcąc zamącić ciszy jej uczelni. Jak paciorki na różańcu, równiutkim rzędem idą po niej miasta zdrowaśki: Césena, Forli, Faenza, Imola, Modena, Reggio, Parma, Piacenza i ojczenasze: Rimini, Bolonia; Mediolan jest jak „Wierzę". Odmawia się je w katedrze. Gdyby zburzyć cały Mediolan, a pozostawić tylko jego katedrę, sława Mediolanu nie byłaby mniejsza niż jest. Katedra mediolańska jest jak zmaterializowana modlitwa. Wszystkie nasze dzienne i niecodzienne sprawy uciekają jej kolumnami, łukami i wieżyczkami w niebo. Cały kościół jest w mroku, a tylko Męka Pańska w jego szczycie jaśnieje o każdej porze. Zwisa ona nad ludźmi, jak grom Bożej sprawiedliwości".

Poetycka proza „Passeggiaty" także i zakątek nad jeziorem Como oplotła muzyką radosnego zapatrzenia i tchnieniem bajki:

„Wszystkie grajki Boże, jakie są wśród drzew i kwiatów pod słońcem, grają tu niebu „Święty Boże, Święty mocny, Święty i nieśmiertelny". Grają na wszystkich instrumentach: na korze lipowej, na listkach eukaliptusu, na fletach bambusów i papirusów, na arfach sosen, tuj olbrzymich, sekwoj i araukaryj, na wiolenczelach agaw i kaktusów, na trąbkach kaczeńców, kamelii, magnolii wielokwiatowych, azalii, hortensji, begonii, rododendronów. Jak kity kapelmistrza palmy królewskie, chilijskie i meksykańskie dyrygują szumom cedrów libańskich i marokańskich, serafickim głosom modrzewi, poszeptom kamfor i platonów, muzyce dębów. Płatki róż padają gęsto w tej symfonii, imitujących ciszę, a wśród nich ibiscus, róża chińska. Pałki bębnów — cytryny i pomarańcze rytmizują krzyk orchidej — saksofonów. Człowiekowi zdaje się, że to wszystko bajka i że już przeszedł między duchy. Na tamten świat wiedzie mostek nad jarem, gdzie rosną wielkie, nierzeczywiste, biblijne paprocie australijskie. Nagle tu, w tej radośnie zielonej gęstwinie wydaje się, jak po wypiciu wody letejskiej, że ten świat jest najpiękniejszym ze wszystkich i że wszystkie cuda przed nami i poza nami są urojeniem. Nigdy świat nie był tak piękny, jak dziś na oczach naszych".

Autor „Passeggiaty", choć jest poetą — jest w niej także informatorem, na którym znać erudycję i wytrawną kulturę humanistyczną. Z drugiej jednak strony jego porównania są aintelektualne, zbudowane głównie z elementów wzroku i słuchu, ze słońca, z nieba i kwiatów, ale i z rzeczy nawskroś realnych. Są one dostrzeżone, przeżyte, widziane, a nie „wymyślone". Oto ulica w Neapolu, rojąca się ludzkim życiem codziennym:

„Dołem szumią przypływy i odpływy ludzkiej fali. Nigdzie chyba na świecie nie żyje tylu ludzi na ulicy, co w Neapolu, latami nie oglądając dachu. Lazzaronne, to jest łazik programowy, filozofujący, że tak najlepiej. lecz prawdziwym dzieckiem Neapolu jest scugnizzo, bezdomny ulicznik, bękart, żyjący jak pies z odpadków i żebrania. Zresztą, któż w Neapolu nie żyje na ulicy? Sklepy i warsztaty tarasują zaułki. Po rybnych, jarzynowych i owocowych straganach, rozścielanych na bruku, depcą przechodnie, o psy oblizują się zdaleka w pokorze. Nosem ryją po ziemi pobite jagnięta. Cieknie woda z lodu, na którym ćwiartuje się bez przerwy melony i arbuzy. Tuż figi dorodne idą o lepsze z owocami opuncji. Złote góry nieszpułek i brunatne kopce gotowanego bobu płyną przez ręce ludzi. Toczą się wózki z cytrynami — jedyna zieleń uliczek — przybrane liśćmi i owocami, z których wyciska się smakowitą spremutę. Naprzeciw stoją szyki kukurydzy. Zapachy biją zewsząd obłokami. Krzyki wydzierają sobie wzajemnie panowanie nad tłumem, kokietując figlarnymi mlaskaniami, westchnieniami. głoskami pytajnymi lub zgoła waleniem pięścią lub nożem w banki straganowe".

A dalej:

„Nie tylko chlebem człowiek żyje. Ulica Neapolu roi się od szarlatanów, wróżbitów, czarnoksiężników, przepowiadaczy, jasnowidzów, cyganów, okpiboków, wydrwigroszów, fałszywych mnichów,

---

kuba", naszego najprawdziwszego Baedekera sprzed wieków.

Przede wszystkim autor tej książki wykreślał i omawiał szczegółowo cztery główne szlaki pielgrzymie przez Francję, wiodące do przybytku św. Jakuba. Wzorowa mapa turystyczna podaje dziś stacje benzynowe wzdłuż szos i autostrad, autor „Księgi" zaś wymienia wszystkie podróżne źródła czystej wody, wyliczając drogi dla pieszych i dla konnych. Zamiast dzisiejszych spisów osobliwości, godnych zwiedzenia. przewodnik sprzed ośmiu wieków wymienia kościoły, które posiadają najszacowniejsze relikwie, przy których opłaci się pątnikowi pomodlić... Koło Arles np. należy iść do Alyscamp „największego cmentarza, jaki gdziekolwiek istnieje na świecie. Kto zaś będzie dostatecznie roztropny, aby zamówić tu Mszę św., jakąż miłą będzie miał niespodziankę w dniu, w którym dusze będą sądzone, gdy zyska jako obrońców przed trybunałem Sądu Ostatecznego tych wszystkich sprawiedliwych, którzy tu są pochowani w niezliczonych sarkofagach".

Natomiast, gdy ktoś ma bliskie sercu osoby w więzieniu, winien iść przede wszystkim do św. Leonarda w Limousin, gdzie znajduje się kościół pełen łańcuchów, kajdan i więzów. noszonych ongiś przez nieszczęśników, których święty wywiódł swym wstawiennictwem z cel.

Nie brak oczywiście i całkiem ziemskich porad. „Za Bordeaux, gdzie wino doskonałe, a ryb obfitość" zaczyna się wielka pustynia Landów. Tam już nie znajdzie się nic do jedzenia i picia. W dalszym ciągu wędrowiec czytał przestrogi o rodzajach much, ós, o lotnych piaskach itp.

Po pustynnych Landach pojawia się urocza Gaskonia, lecz tu nie kończą się biedy pątnicze. Kraj jest wprawdzie piękny, ale mieszkańcy, Baskowie, to dzikusy — przestrzega autor przewodnika. Już sam ich widok może zmrozić krew w żyłach. Bez żadnego uzasadnienia żądają opłat od pielgrzymów, posuwając się do tego, że przeszukują ich ubrania. Te pierwotne stworzenia „jedzą rękami nie używają łyżek, pożerając pożywienie z garnków, w których wszystko jest wymieszane razem w sposób obrażający smak. Patrząc na nich odnosisz wrażenie, że spoglądasz na psy albo na wieprze żrące łapczywie, a gdy słuchasz jak mówią, wydaje ci się, że słyszysz szczekanie psa".

Wszystkie dobre i złe strony drogi omawia autor, przestrzegając, radząc, zachęcając. Pielgrzymi, których nie stać było na drogi egzemplarz, czytali sobie przewodnik w gospodach, jeśli czytać nie potrafili, słuchali wiadomości dotyczących następnego etapu z ust tych, którym sztuka czytania nie była obca.

Autorem „Księgi św. Jakuba" był Aimery Picaud, rodem z jednej mieściny w Poitou. Dziełko jego napisane około r. 1140 nie jest jednak bezinteresownym płodem ducha, nie powstało tylko z chęci usłużenia pątnikom. Jest to typowa realizacja „zamówienia społecznego" — tym razem w służbie przepotężnej benedyktyńskiej wspólnoty kluniackiej. Mnisi benedyktyńscy, którzy mieli klasztory i gospody wzdłuż dróg, wyliczonych pieczołowicie przez A. Picaud, byli z różnych względów zainteresowani, aby tędy właśnie kierował się ruch pielgrzymi, a nie drogami innymi. Okazuje się bowiem, że drogi opisane przez „Liber Sanct Jacobi" wcale nie były jedynymi możliwymi. nie przemawiały za nimi względy geograficzne czy troska o szczególną wygodę pielgrzymów. Ale w Cluny był wtedy wznoszony olbrzymi, do czasów bazyliki św. Piotra największy w świecie, benedyktyński kościół, o dwu transeptach, pięciu nawach, siedmiu wieżach; w tym czasie też budowano przesławną bazylikę św. Jakuba. Ale to nie były jedyne powody, przemawiające za skierowaniem rzesz pielgrzymich po osiach benedyktyńskich.

Kierując olbrzymimi migracjami katolików do Hiszpanii mieli w tym Benedyktyni jeszcze cel donioślejszy: najskuteczniejszą pomoc Hiszpanom w ich walkach z Maurami. Za pieniądze, ofiarowane przez pątników, ekwipowano statki wojenne i zbrojono armie. Rycerze, zwłaszcza francuscy, przekroczywszy Pireneje, zostawali już przeważnie na Półwyspie Pirenejskim i walczyli razem z Hiszpanami przeciw Maurom. Aimery Picaud jest przecież współczesnym największemu bohaterowi tych walk z nieprzyjaciółmi Krzyża, kastylijczykowi Rodrigue Diaz de Rivar, znanemu w całym świecie pod imieniem Cyd Campeador... Nie ma przesady w stwierdzeniu, pisze p. Yves Guillot, że bohaterski wódz walk z „niewiernymi" i skryba-autor przewodnika dla pielgrzymów walczyli w tej samej sprawie. I, że bez tej książeczki, Santiago di Compostella nie byłoby zastąpiło Europie średniowiecznej Jerozolimy i Rzymu. Skromny Beadeker sprzed ośmiuset lat kierował do Hiszpanii przez wieki setki tysięcy pielgrzymów wszelkiego stanu, od żebraków i nędzarzy aż po koronowane głowy...

jt.

NA PĄTNICZYM SZLAKU



Rys. Bertelli

Pielgrzymi polscy na Rok Święty 1700

śpiewaków, recytatorów, szachrajów, sprzedawców lubczyku i robaczków świętojańskich, kabalarek, dziewcząt z papugami, czarnogiełdziarzy, kupców na wszystko, a nade wszystko od złodziejaszków, licznych, jak gwiazdy na niebie".

Urok „Passeggiaty" żyje też i w tonie bajki, który gęsto przemyka się stronicami książki:

„Kiedy Pan Bóg lepił świat z gliny, pomyślał, że Rzym będzie na tym świecie Jego stolicą. Nie tylko się wtedy nad nim uśmiechnął, ale wetknął już w swej wyobraźni krzyż w miejsce kopuły św. Piotra, kazał tu najpiękniej wschodzić i zachodzić słońcu, drzewom polecił rosnąć najwyżej i najdziwniej, różom kwitnąć najobficiej. Tybrowi powyginać się wielokrotnie, ptakom przelotnym urządzić postój ich zamorskich szlaków w ogrodzie Pincio, a ludzi umyślił sobie natchnąć tu wielkością pomysłów i cudotwórstwem ręki".

„Rzymów jest bardzo wiele. Każda nudna książeczka wylicza ich trzy: starożytny, średniowieczno-papieski i nowy. Dowcipniejsi badacze liczbę tę mnożą przez dwa, trzy, cztery, a Sienkiewicz wybrnął z tych obliczeń najtrafniej, twierdząc, że każdy ma swą osobistą Italię i że nawet warto pisać wspomnienia, bo zawsze w nich jest coś takiego, czego nie było w poprzednich. Jest to „nowy i odmienny stosunek oczu". Jeden tylko element w Rzymie jest niezmienny: powietrze. W chemicznym jego składzie jest niewątpliwie nieznany jeszcze chemii pierwiastek: historicum. Jest to jakby czad. Czad historii. Wisi on nad miastem bez przerwy, a zagęszcza się o zmroku, gdy uliczki, niezmienione od wieków ni „linią ni cyrklem", ślimaczą się w wieczornych sentymentach. Granic epok w Rzymie szukać próżno. Trzeba by cały Rzym zburzyć, chcąc przeprowadzić salomonowy proces podziału. W każdej budowli są cegły królewskie, republikańskie, cesarskie, papieskie, bizantyńskie, a nawet z tych czasów, o których się mówi, że „to było dawno i nieprawda". Kradną nie tylko kieszonkowcy. Kradną cesarze, konsulowie, dygnitarze krwi, złota i urzędu. O Rzymie starożytnym ktoś powiedział: „Quod non facerunt barbari, facere Barberini" („Czego nie dokonali barbarzyńcy, zrobił to ród Barberinich"). Im podobnym, a nie zębowi czasu starożytny Rzym zawdzięcza ruiny, a potomny przepych budowli. Rzym historyczny tkwi w życiu bieżącym i nie jest od niego oddzielony barierą historii dlatego, że życie płynące z tamtych kamieni i cegieł ma dziś taki sam smak, jak wtedy. gdy tamte starożytności wznosił ktoś, niszcząc jeszcze bardziej stare".

Tu już czas przyznać się do podstępu: To nie recenzja o książce J Bielatowicza. (Mówiąc prawdę, na recenzję godną siebie „Passeggiata" dopiero czeka, choć ukazała się w druku 3 lata temu). To tylko garsteczka zdań dla — kilku z niej cytatów. Aby w ŻYCIU, w którym jest parę artykułów o Jubileuszu i Rzymie, nie zabrakło autentycznego powietrza Italii i Wiecznego Miasta. A na ich zakończenie jeszcze jeden, mówiący, jak cała ta książka, o majsterstwie, z jakim autor, dając informację, nie roni niczego ze swego wysokiego artystostwa: realium przemienia się w metaforę, a metafora jak gnom, ciska w nas raptowną, niespodziewaną prawdą. (Granity pod tęczą...). Cytat ten powie nam jedno jeszcze: jak głęboko, uniwersalnie, jak po katolicku autor czuje Rzym:

„Rzym polski, to nie jest niezliczona ilość grobowców, tablic, ołtarzy, obrazów, herbów, dwa kościoły, zakony polskie, Matka Boska Żyrowiecka w Santa Madonna del Popolo, pałac Marysieńki na Via Sistina, pomnik marsz. Piłsudskiego, ulice o polskich nazwach, foliały historii. Rzym polski to jest Rzym cały, Rzym wszystkich epok i dzieł ludzkich. Z Rzymu popłynęła kultura polska i Rzym jest jej historyczną stolicą. Dzieje nasze grały się również na rzymskim teatrze i życie polskie płynęło również ulicami Rzymu."

„Nie ma w Italii miejsca, skąd by nie można dostrzec Polski" — pisze na innym miejscu autor „Passeggiaty". Niewątpliwie takie jego widzenie rzeczy przyczyniło się do tego, że książeczka ta napisana jest miłością. Jest radosną pochwałą kraju, w którym do dziś dzieło stworzenia nie straciło świeżości Edenu, kiedy to Bóg przechadzał się po nim „w czas wietrzyku porannego". Na słonecznych drogach Italii czytałam „Passeggiatę" naprzemian z „Pielgrzymkami franciszkańskimi" Jorgensena — to dwie siostry, tak podobne i tak różne, jak dwie siostry najrodzeńsze. „Pielgrzymki" są jak Maria, a „Passeggiata" jest Martą. Chciało by się dawać tę książkę do rąk każdemu, aby cieszono się nią jak słońcem i pogodą. To nie tylko najurodziwsza książka Polaka o Italii, ale i najpiękniejsza, jaka od 1939 roku wyszła spod polskiego pióra.

Jest to również, choć nie ten cel przyświecał jej autorowi, nasza najbardziej chrześcijańska książka o kraju, który jest drugą ojczyzną każdego katolika. To śpiew na dominancie tej gamy, w której Franciszek śpiewał pochwałę wszego stworzenia w „Cantico di frate sole", a są w niej miejsca tak świetliste, że wiodą nas w jego umbryjską tonację:

Pochwalony bądź, Panie, z wszystkimi swymi twory,
Przede wszystkim z szlachetnym bratem naszym, słońcem,
Które dzień stwarza, a ty świecisz przez nie;
I jest piękne i promienne w wielkim blasku.
Twoim, najwyższy, jest wyobrażeniem...

Janina Tokarska

WYSZEDŁ Z DRUKU

ŚPIEWNIK KOŚCIELNY

wydany przez Koło Księży Prefektów

w W. Brytanii

opracowany przez ks. K. KRZYŻANOWSKIEGO.

Format kieszonkowy — stron 148.

Cena 2/3 + 6 d. na porto.

Nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego Veritas

12, Praed Mews, London W.2. Tel. AMB. 6879

LISTY DO REDAKCJI

Wokół »Problematu zabójstwa«

Wielce Szanowny Panie Redaktorze!

W numerze świątecznym ŻYCIA ukazał się artykuł znanej powieściopisarki Z. Kossak pt. „Krzywdząca ocena", w którym autorka z wielkim umiarem ,a zarazem oburzeniem przytacza wyjątek z artykułu p. Jędrzeja Giertycha „Problemat zabójstwa".

Nie miałem okazji przeczytać tego artykułu, ale sam wyjątek wystarczający jest do zabrania w tej sprawie głosu.

Jestem z pełnym szacunkiem dla pracy i twórczości pisarskiej p. Giertycha, tym bardziej więc dziwić i oburzyć może jego stanowisko w sprawie polskiego podziemia.

Nie ulega najmniejszej dziś wątpliwości, że w czasie okupacji niemieckiej, zdarzały się ze strony niektórych grup politycznych różne wykroczenia, nierzadko i pospolite zbrodnie, które zdrowy ogół społeczeństwa polskiego z całym naciskiem potępiał, jak czyniły to również władze stronnictw politycznych, chciażby te zbrodnie były w ich interesie.

Nie dowodzi to jednak, aby posuwać się aż do tak niemal świętokradczych twierdzeń, że „Polska ma splamione ręce krwią".

To już nie tylko boli, ale oburza każdego, bo to potwarz rzucona w twarz nie jakiejś grupie politycznej, ale całej Polsce!

Można spierać się do celowości powstania warszawskiego i wielu innych posunięć podziemnego Państwa, ale nie wolno rzucać tak bezprzykładnego oskarżenia.

Naród polski w ciągu całej okupacji, jak i bohaterskiego powstania Warszawy wykazał tyle ofiarności, tyle poświęcenia, że wygłaszanie tak krzywdzących sądów jest wręcz karygodne.

Pan Giertych przeoczył fakt, że tego rodzaju oskarżenie jest i wodą na młyn władz komunistycznych w kraju, zapomniał również, że gro tych niesłychanych zbrodni dokonane zostały rękami tych, którzy dziś przy pomocy Kremla dławią wolność narodu naszego.

Czy Polska ma pokutować, że miała taką to a taką ilość sprzedawczyków i zdrajców?

Sądzę, że artykułem swym nie przysłużył się p. Giertych dobrej Sprawie, choć napewno powodowały nim szlachetne cele.

Autor oburza się na nieetyczną walkę, walkę nierycerską, nawet w stosunku do dzikiego okupanta hitlerowskiego.

Czyż my jednak nie przesadzamy w tej rycerskości? Czy ta miała być zastosowana do takich bezprzykładnych zbrodniarzy?

Walka ta była na śmierć i życie i jakże można tu było w pełni stosować zasady rycerskości? Chociaż oddziały walczące w powstaniu Warszawy okazywały niejednokrotnie za dużo rycerskości w stosunku do wroga, który zaprzysiągł nam zagładę.

Zaznaczam dla jasności, że nie jestem z A.K., bo los wyznaczył mi długą niewolę, ale tym niemniej czuję się w obowiązku zaprotestowania przeciw krzywdzącej ocenie bohaterskiego zrywu całego narodu.

Na rękach Polski nie ma krwi żadnej, Panie Jędrzeju Giertych, ale była i do dziś jest wielka cierniowa korona, przed którą my wszyscy rozproszeni po całym świecie nisko głowę schylić winniśmy dla uszanowania Męczeństwa. ale nie rzucanie gromów tam, gdzie ich rzucać nie wolno, bo to boli i rozjątrza jeszcze niezagojone rany.

Polska jest cała skąpana we krwi, a l e n i e m a j e j n a s w y c h r ę k a c h, bo walczyła i nadal walczy o Wolność i Niepodległość o Pokój i Sprawiedliwość Bożą.

Racz, Panie Redaktorze, przyjąć wyrazy szacunku i poważania

H. Kaniewski

Szanowny Panie Redaktorze!

Pan J. Giertych poruszył na tle akcji „Rozdroże miłości" sprawę ogromnie ważną dla zrozumienia psychiki Kraju przez emigrację dawną, a nawet i tę, która masowo przeszła granice w 1939 r.Dzięki swej bytności w kraju w 1945 r. chwyta wśród społeczeństwa, obce mu dawniej rysy. Rozumie to jako następstwo walki w podziemiu. Zapach krwi unoszący się w dramacie na scenie jest ten sam, który wyczuwał w Polsce. Jednak jako jeniec, odcięty w Niemczech od walczącego narodu, jest pozbawiony i prostego i oczywistego klucza do zagadek życia, jakim jest — zobaczenie. Przytem klucz to nienajlepszy, gdy się widzi pobojowisko, a nie przeżywa zmagań. Beznamiętna obserwacja ex post pozwoliła autorowi artykułu na formowanie wyroków w oderwaniu od atmosfery walki prowadzonej nie o wydarcie zwycięstwa, a o utrzymanie życia Narodu, który był mordowany przez zbirów.

Najbardziej szlachetny artykuł, broniący (pośrednio) Niemców przez oskarżanie o morderstwa, o nierycerską walkę Polski, bijącej się rozpaczliwie w podziemiu, brzmi w uszach walczących wówczas, jak oderwane od ciężkiej rzeczywistości teoretyczne rozważania idealisty.

Odróżnić należy ściśle zadanie śmierci w walce od zabójstwa. Działania partyzanckie, mimo swej nierycerskości, są działaniami zbrojnymi, a praktyka zmieniła prawo mędzynarodowe, uważając walczących w obronie swego kraju, nawet bez mundurów. za żołnierzy.

Wraz z armią niemiecką do Polski wkroczyło Gestapo i szereg organizacji pokrewnych, nastawionych na eksterminację. Jeśli armia podczas kampanii i potem popełniała sporadyczne gwałty, to zaplecze jej po usadowieniu się i rozciągnięciu sieci, od roku 1940 przeszło do masowej rzezi.

Podziemie dopiero w 1942 roku podjęło szeroką akcję terroru. Dało to początkowo wyniki czasowo powściągając akcję Gestapo. Gdyby terror AK był kierowany tylko przez uderzenie w osoby główne policyjnej maszyny — wierzę, że spełniłby swe zadanie. Rozprowadzony na obszar całego państwa wymknął się z rąk i stał się odruchowym zadawaniem ciosów przez człowieka, któremu krew zalewa oczy. Terror nie opłacał się, gdyż straty ludności były nieproporcjonalnie większe, a był dalej stosowany, gdyż represje „odwetu zbiorowego" nie dosięgały terrorystów.

Walka partyzancka jest zawsze „strzelaniem zza płotu". Charakter jej wynika z dysproporcji sił. Walka zbliżona do regularnej nie może mieć miejsca z okupantem, bo rzucając się do powstania jest równa masowemu samobójstwu.

Nikt kto był w Kraju w czasie okupacji, a więc ciągłej walki w stadiach od biernego oporu aż po powstanie nie myślał o rycerskości mniej, jak o zwiędłym kwiecie na trumnie minionych wieków, a o prawie międzynarodowym, jak o martwej literze.

Nawet księża, z którymi wiele rozmawiałem, nie mogli odważyć w sumieniu zaleceń zmiany metod walki bezpośredniej, stosowanej do Niemców.

Inne zupełnie zagadnienie stanowiła szeroko zakrojona akcja zwalczanie szpiegostwa, i tu zgadzam się zupełnie z autorem.

Strzał, rzut granatu, użycie materiału wybuchowego wobec po zęby uzbrojonego i zawsze liczniejszego przeciwnika był zawsze aktem walki, wnosił element ryzyka własnego życia. Wiele oddziałów Narodowych Sił Zbrojnych idąc do pierwszych akcji miało broń na 30 proc. stanu. Wyrabiało to żołnierza i wymagało odwagi!—Działanie tego typu słownictwo wojskowe określało jako małą wojnę, partyzantkę lub guerillę.

Wyrokowanie zaoczne, skrytobójcze morderstwa wykonywane na nieznajomym — upodlało cały łańcuch podziemnej „sprawiedliwości", więcej niż jakiekolwiek działania.

Samobójstwo natomiast, najcięższy grzech przeciwko Duchowi Świętemu jest bardziej zrozumiałe u konspiratora obawiającego się, że mu torturami z żył wyciągną tajemnicę. Była to chyba najcięższa z możliwości życia, nie przez każdego uniknona. Nie umiem w tych warunkach potępić samobójstwa i nie jestem pewien, czy je Bóg potępiał.

Ręce polskie nie są tak powszechnie splamione krwią, jak pisze J. Giertych.

Krew wroga przelana w walce partyzanckiej wsiąkła w ziemię. Krew wyrokowania zaocznego i skrytobójstwa pozostała na rękach i ciąży sumieniom.

Życzę itd.

Mjr. dypl. S. Żochowski

Szanowny Panie Redaktorze!

Z wielkim zainteresowaniem czytałem w ostatnich numerach ŻYCIA artykuły p.Kossak i p.Giertycha na temat Ruchu Podziemnego i wydaje mi się, że do wyrobienia sobie sprawiedliwego sądu o problemach życia konspiracyjnego w Polsce i o jego wynikach przyczyniają się znacznie głosy obojga pisarzy.

Nie mogę natomiast przejść do porządku dziennego nad następującymi zdaniami w artykule „Krzywdząca ocena": „...Nieobecny rząd kontaktował się z krajem przez emisariuszy i kurierów, finansował Podziemie, nawoływał, by wszystkie siły narodu wprowadzić do walki. Zapewniał, że powszechność tej postawy stanowi o autorytecie Polski wobec aliantów i że cały Zachód patrzy na polską konspirację z podziwem. Czyż trzeba było lepszej zachęty? — „N i e c h w i d z ą n a s, j a k u m i e r a m y"..."

A więc tysiące ludzi poniosło śmierć poto, żeby Zachód widział, jak umierali! Żeby Zachód podziwiał! „Niech widzą nas, jak umieramy"...

Czuję, że ktokolwiek był autorem cytowanej przez p. Kossak wypowiedzi, nie mógł to być człowiek, który doceniał znaczenie życia, nie mógł to być patriota, któremu leżało na sercu życie współobywateli, nie mógł to być przede wszystkim katolik.

Nauka katolicka jasno i niedwuznacznie traktuje o zagadnieniu śmierci. Według niej jest to przejście z jednej formy życia w drugą, z czasowości w wieczność. Nie wolno ani śmierci pragnąć, ani się jej bać. Jest natomiast rzeczą szlachetną ofiarować swoje życie w obronie Boga lub w obronie życia innego człowieka albo też zbiorowości ludzkiej, objętej słowami Naród, Ojczyzna, Ludzkość.

Ale tylko wówczas jest ofiara ta dopuszczalna, jeśli innych środków obrony już nie ma. Pierwsi chrześcijanie, na których często się powołujemy, umierali ochotnie dopiero wtedy, gdy ich pochwycono, albo, gdy uniknąć śmierci znaczyło wyrzec się Boga lub innych wydać na śmierć. Rzeczą istotną w ich podejściu do śmierci było to, czego naogół nie dostrzegamy, mianowicie, że nie pragnęli wzamian za swoje życie śmierci swych wrogów. Zemsta, często ukrywana pod słowem sprawiedliwość, jest uczuciem naturalnym i zrozumiałym jedynie u istot o niskim stopniu rozwoju — u zwierząt i u ludzi o przewadze cech zwierzęcych.

W czasach prześladowań, wojen lub wszelkiego rodzaju krwawych rozpraw szlachetna gotowość ofiarowania życia nierzadko się wyradza w apoteozę śmierci. Pragnienie śmierci w imię Ojczyzny, Społeczności, Idei staje się najwyższą zasługą, chęć zaś życia dla tych wartości poczytywana jest niemal za zdradę. Przyznać trzeba, że choć atmosfera taka prowadzić może do masowych samobójstw, szaleńczych szarż, nieobliczalnych wybuchów, to jednak zawsze tam można znaleźć motywy szlachetne, jeśli nie zawsze słuszne.

Tragedia zaczyna się dopiero wtedy, gdy zaistnieje tendencja śmierci na pokaz — „Niech widzą nas, jak umieramy"... Oddajmy życie! Przelejmy krew! Śmierć! Śmierć! Śmierć! Po co? Poto, żeby nas widział Zachód, Wschód lub ktokolwiek inny...! Śmierć dla wywołania podziwu...! „Czyż trzeba było lepszej zachęty?"

Tragedia wzmaga się i pogłębia, jeżeli podobne nastawienie nie wywołuje zdrowej reakcji, choćby w formie oburzenia.

Tragedia ta budzi najwyższy niepokój, jeśli zdania takie jak przytoczone, zjawiają się jako motyw obronny i usprawiedliwiający w artykułach poważnych pisarzy.

Łącze, Panie Redaktorze...

Jerzy Thoma

21, Oxford Str.,
Edinburgh, 8.

Krzyżyki jerozolimskie

Posiadamy ograniczoną ilość pięknie wykonanych, s r e b r n y c h krzyżyków jerozolimskich

Cena 2/6 plus 6 d za porto

Veritas Found. Publ. Centre
12, Praed Mews, London W. 2.

Zjazd Katolicki Polaków w Szwajcarji

W dniach 28/29 maja 1950, odbył się we Fryburgu Zjazd Katolicki Polaków w Szwajcarii. W Zjeździe wzięło udział paręset Polaków ze wszystkich kantonów szwajcarskich.

Protektorami Zjazdu byli: J. E. Ks. Nuncjusz Filippo Bernardini, J. E. Ks. Biskup Franciszek Charrière, J. E. Ks. Biskup Józef Gawlina.

Zjazd został otwarty uroczystą Mszą św. celebrowaną w Kaplicy Uniwersyteckiej przez J. E. Ks. Biskupa Gawlinę, który przybył specjalnie na Zjazd z Rzymu.

Marszałek Zjazdu, p. Agenor Gołuchowski, dokonał otwarcia Zjazdu w auli Uniwersytetu Fryburskiego.

Inauguracyjny referat na temat religijnych potrzeb Polaków na obczyźnie, wygłosiła p. Jadwiga Romerówna. Po referacie nastąpiła ożywiona dyskusja.

Po wspólnym posiłku, w którym wzięli udział wraz z uczestnikami Zjazdu, Ks. Biskup F. Charrière, oraz szereg osobistości szwajcarskich z Min. Bovet i Rektorem Vasella na czele, Ojciec I. M. Bocheński wygłosił po francusku, wobec licznie zebranych gości, referat o współczesnym położeniu Kościoła Polskiego. Po odczycie Ks. Nuncjusz Bernardini udzielił zebranym błogosławieństwa.

W drugim dniu Zjazdu, po referacie mgr. Hruszki z Baden, wysłano telegram do Ojca Świętego i uchwalono szereg rezolucji. W tych rezolucjach, po oddaniu hołdu Ojcu Świętemu Piusowi XII, Ks. Ks. Biskupom polskim oraz wyznawcom Wiary z Ks. Kard. Mindszentym i Ks. Arcyb. Stepinacem na czele, zebrani założyli uroczysty protest przeciw prześladowaniu Kościoła w Polsce i innych krajach. W dalszym ciągu rezolucji, zebrani zwrócili się z apelem o przyznanie Praw Człowieka emigrującym uchodźcom i z wezwaniem do wszystkich chrześcijan całego świata o solidarność z ich prześladowanymi braćmi. Poza tym uczestnicy Zjazdu apelowali o jedność wśród Polaków i omówili szereg spraw dotyczących życia religijnego uchodźców polskich.

Zjazd został zakończony błogosławieństwem Ks. Biskupa Gawliny i odśpiewaniem hymnu narodowego.

Oto uchwały Zjazdu:

Zjazd uchwala:

Prosić Zarząd P. K. S. U. Veritas we Fryburgu, jako najstarszej na terenie Szwajcarii polskiej organizacji katolickiej, o realizowanie w miarę możności i stojących do dyspozycji środków tych wszystkich praktycznych wniosków, które zostały postawione i w zasadzie przyjęte przez Zjazd. W szczególności Zjazd uważa za konieczne:

a) Zorganizowanie katolickiej i polskiej pomocy dla dzieci polskich przebywających na terenie Szwajcarii, jak:
— organizacja nauki religii w jęz. polskim, z czym łączy się nauka jęz. polskiego i dostarczanie dzieciom polskim odpowiedniej literatury religijnej polskiej,
— otoczenie szczególną opieką dzieci polskich-sierot, przebywających w wiosce Pestalozzi.
— organizowanie kolonii letnich dla dzieci polskich, kolonii prowadzonych w duchu katolickim i polskim.

b) Opodatkowanie się emigracji polskiej na terenie Szwajcarii na cele, mające być zrealizowane w myśl postanowień Zjazdu.

c) Zorganizowanie Akcji Katolickiej na terenie Szwajcarii, w zależności od decyzji o jakie Zjazd prosi w tej sprawie Jego Ekselencję Ks. Biskupa Gawlinę. Dążyć — ciągle w zależności od wspomnianej wyżej decyzji — aby wyżej wymienione w punkcie a) i b) cele były realizowane przez Akcję Katolicką.

d) Zjazd stoi na stanowisku, że Zarząd P. K. S. U. Veritas we Fryburgu winien do współpracy przy realizowaniu powyższych celów zaprosić inne koła Veritas istniejące na terenie Szwajcarii, oraz te wszystkie jednostki, których współpraca okaże się celowa.

e) Zjazd zwraca się do Polaków zagranicą z apelem o prenumerowanie ŻYCIA, którego istnienie, niezbędne dla polskiej kultury katolickiej na obczyźnie, może być zapewnione tylko przez zbiorowy wysiłek.

W sobotę, dnia 1 lipca 1950 r. o godz. 7-ej popoł. w sali przy Katedrze Westminsterskiej (Westminster Cathedral Hall, Ambrosden Avenue, S.W.1. — dojazd do st. kol. Victoria) odbędzie się

UROCZYSTA AKADEMIA

ku czci

OJCA ŚWIĘTEGO PIUSA XII

zorganizowana staraniem Komisji Obchodu Roku Św.

Program:

Słowo wstępne — Jan Szułdrzyński,

Referat: PIUS XII a POLSKA — Dr Władysław Jelonek,

Pieśni — wykona Chór Polski pod dyrekcją Henryka Hosowicza.

Zakończenie akademi około godz. 8,15

Ze względu na obecność Pana Prezydenta R.P. prosimy o zajęcie miejsc do godz. 6,55.

Wstęp wolny. Prosimy o ofiary na Polską Akcję Katolicką w W. Brytanii.

INSTYTUT POLSKI AKCJI KATOLICKIEJ
w W. BRYTANII.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

OJCIEC ŚWIĘTY PRZYJĄŁ Z GÓRĄ MILION PIELGRZYMÓW

Do obecnej chwili Ojciec Św. przyjął na publicznych i prywatnych audiencjach z górą milion pielgrzymów, przybyłych w roku bieżącym do Rzymu na Rok Św.

KSIĘŻOM NIE WOLNO UPRAWIAĆ HANDLU

Nowy dekret Stolicy Apostolskiej, ogłoszony w „Acta Apostolicae Sedis“ (papieskim „dzienniku ustaw“), wprowadził nowe, zaostrzone sankcje, w związku z kanonem 142 prawa kanonicznego. Kanon ten zabrania duchowieństwu zakonnemu i świeckiemu, mającemu wyższe święcenia, zajmować się handlem.

Nowe przepisy przewidują kary za przekroczenie powyższego zakazu aż do ekskomuniki i pozbawienia sukni duchownej włącznie. Chodzi o zwiększenie dyscypliny wśród duchowieństwa i o uniemożliwienie wdawania się przez duchowieństwo w interesy, które wierni uważać mogą za możliwe.

SPRAWA KONSEKRACJI ARCYBISKUPA JACHYMA

Dnia 22 kwietnia br. wielkie wrażenie zrobił w Austrii fakt, który się wydarzył w czasie konsekracji biskupiej ks. Franciszka Jachyma w kościele św. Stefana w Wiedniu.

Kardynał Innitzer, arcybiskup Wiednia, dokonywał aktu konsekracji X. Jachyma na swego biskupa-koadiutora, a zarazem na tytularnego arcybiskupa Maronei. Na kilka sekund przed otrzymaniem sakry biskupiej, ks. Jachym nagle przerwał uroczystość i głośno oświadczył, że nie może pozwolić na wyświęcenie go na biskupa, nie jest bowiem tego godny, poczem w szatach liturgicznych odszedł od ołtarza i wyszedł z kościoła.

W miesiąc później, dnia 19 maja, w Rzymie, w czasie pielgrzymki austriackiej na Rok Święty, uroczystość odbyła się powtórnie i X. Jachym został przez kardynała Innitzera wyświęcony. Sekretariat kardynała Innitzera ogłosił komunikat treści następującej: „Po szczegółowym zapoznaniu się z powodami, które skłoniły X. Jachyma do odmówienia przyjęcia godności tytularnego arcybiskupa Maronei i koadiutora archidiecezji wiedeńskiej i rozważeniu tych powodów, Ojciec Święty postanowił potwierdzić swą poprzednią decyzję o zamianowaniu go na powyższe godności.“

ZEBRANIE EPISKOPATU JUGOSŁOWIAŃSKIEGO

Po raz pierwszy od roku 1927 episkopat katolicki w Jugosławii zbiera się na konferencję w Zagrzebiu. Konferencja ta poświęcona będzie głównie określeniu stosunku do państwa pod rządami komunistycznymi dyktatury Tity. Konferencja uchwalić ma m. in. żądanie uwolnienia arcybiskupa Stepinaca, przebywającego już 4 lata w więzieniu, a skazanego przez sąd komunistyczny na lat 16.

KANONIZACJA BISKUPA, KTÓRY OFIAROWAŁ ŻYCIE ZA PAPIEŻA

Dnia 11 czerwca br. odbędzie się kanonizacja biskupa Wincentego Marii Strambiego, zmarłego w roku 1824.

Był on biskupem diecezji Macerata we Włoszech. Czasy napoleońskie spędził na wygnaniu, odmówił bowiem złożenia przysięgi na wierność Napoleonowi w czasie okupacji państwa papieskiego przez wojska francuskie.

Gdy Pius VII w roku 1823 był umierający, biskup Strambi ofiarował w modlitwie swe życie za życie Ojca Świętego. Po modlitwie, wszedł do pokoju, gdzie leżał chory i oświadczył, że papież wyzdrowieje, a on, biskup Strambi wzamian za to w osiem dni później umrze.

Tak się stało. Biskup Strambi umarł po ośmiu dniach, w sam dzień Nowego Roku, a papież wyzdrowiał i panował jeszcze pięć lat.

PIELGRZYMKA SKANDYNAWSKA

Przybyła do Rzymu pielgrzymka 500 katolików duńskich, szwedzkich, norweskich i finlandzkich. Wraz z pielgrzymką przybyli J.E. ks. biskup Suhr, O. S. B., wikariusz apostolski Danii, ks. bp. Cobben, wikariusz apostolski Finlandii, ks. bp. Mangers, wikariusz apostolski Norwegii i ks. bp. Nelson, wikariusz - koadiutor Szwecji.

WZRASTA ILOŚĆ KATOLIKÓW W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Oficjalny rocznik katolicki wydany na rok 1950, wykazuje wzrost liczby katolików w Stanach Zjednoczonych, Alasce i na wyspach Hawajskich do 27.766.141 czyli o 1.047.798 więcej aniżeli w roku ubiegłym.

Dwadzieścia trzy archidiecezje amerykańskie podały wzrost liczby katolików o 469.587 dusz, gdy 103 biskupstwa wykazały wzrost o 578.211. Największą co do ilości komunikantów jest archidiecezja w Chicago, licząca 1.691.681 dusz. Na drugim miejscu znajduje się arcybiskupstwo w Bostonie z liczbą 1.302.985 wiernych.

Episkopat Stanów Zjednoczonych liczy 4 kardynałów, 21 arcybiskupów i 157 biskupów. Ilość wyświęconych księży wzrosła do cyfry 42.970. W Stanach Zjedn. istnieje 11.497 katolickich instytucji wychowawczych. Na uniwersytetach katolickich studiuje 252.727 osób, podczas gdy 4.750.956 dzieci uczy się w katolickich szkołach wyznaniowych. Oznacza to duży wzrost w porównaniu z rokiem ubiegłym.

Na rok szkolny 1950/51 zapisy do szkół katolickich — wedle relacji dziennika „New York Times“ — obejmą około 3.500.000 młodzieży.

KOLONIE LETNIE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

W szybkim tempie zbliża się okres wakacji letnich dla dzieci i młodzieży. Fakt ten łączy się z nową troską rodziców, gdzie wysłać swoje pociechy, aby spędziły wakacje zdrowo, pożytecznie i przyjemnie. Nie wszystkim rodzicom warunki pozwalają na wysłanie dzieci na wakacje letnie prywatnie.

Chcąc choć trochę dopomóc rodzicom w rozwiązaniu tak ważnego problemu, Towarzystwo Przyjaciół Dzieci i Młodzieży zwróciło się do Komitetu dla Spraw Oświaty Polaków o urządzenie pełnych kolonii letnich w jednym z obozów szkolnych. Komitet ustosunkował się życzliwie do tej akcji, przydzielając szkołę polską w Diddington na kolonie.

Z kolonii skorzystać mogą: młodzież i dzieci obojga płci w wieku od 6 do 16 lat. Kolonie rozpoczną się od 8 sierpnia i trwać będą do 5 września b. r. (dzieci mogą korzystać z krótszych n. p. 2-tygodniowych okresów). Koszt jednego tygodnia 35/- i opłatę za przejazd 15/- od osoby (w obie strony) pokrywają rodzice dziecka.

Na koloniach — poza fachową opieką — prowadzone będą, pogadanki w zakresie historii i języka polskiego, jak również organizowane będą wycieczki, gry, zabawy i tem podobne rozrywki.

Wszelkie podania ze zgłoszeniami kierować należy na adres: TOWARZYSTWO PRZYJACIÓŁ DZIECI I MŁODZIEŻY, 50. Nightingale Lane, Clapham South, London, S. W. 12. — i to najpóźniej do 25 czerwca b. r.

Wszelkich informacyj udziela się przy zapisie.

ZARZĄD TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ DZIECI I MŁODZIEŻY.

KATOLICKI OŚRODEK WYDAWNICZY „V E R I T A S“
OGŁASZA PRZEDPŁATĘ na
Tomik wierszy Anatola Krakowieckiego
p. t.: „Na latającym dywanie”

Zbiorek ten, liczący stron 48, zawierał będzie pełne wdzięku wiersze niedawno zmarłego autora głośnej w całym świecie „Książki o Kołymie“, znanego pisarza, autora dramatycznego i dziennikarza. Wszyscy posiadacze „Książki o Kołymie“ zechcą zapewne mieć ten tomik, który Autor przygotował do druku jako ostatnią pracę swego życia. Tomik zawierał będzie wiersze pisane na obczyźnie w latach 1944 — 1950.

Cena w przedpłacie 2/6.

Z GŁOSÓW PRASY

O NAGRODACH LITERACKICH

„WIADOMOŚCI“

W nrze 217 londyńskich „Wiadomości” czytamy pod powyższym tytułem:

3 maja b.r. wręczono uroczyście nagrody literackie Katolickiego Ośrodka wydawniczego „Veritas“. Ta ruchliwa instytucja ufundowała przy poparciu polskich kół kościelnych w Wielkiej Brytanii pierwszy na emigracji zespół nagród, obejmujący nagrodę za ogólną działalność literacką (£ 50), nagrodę młodych (£ 100), nagrodę dla publicysty katolickiego (£ 25), nagrodę dla wybitnego poety (£ 25); już w toku obrad jury uzyskano dodatkową nagrodę poetycką (£ 20).

Nagrodą za całość dorobku pisarskiego uwieńczono Beatę Obertyńską. Niewątpliwie było myślą słuszną, że chciano nagrodzić poetę: liryka jest najcenniejszym jak dotąd osiągnięciem emigracji; w pewnym okresie, w latach wojny, stanowiła ona niemal główną formę literackiego wyrazu artystycznego, obficie rozrodzoną i zróżnicowaną. Jakkolwiek można by postanowieniu jury przeciwstawić inne nazwiska, nie banalny, zaskakujący wybór należy uznać za szczęśliwy. Wydobywa on na jaw poetkę autentyczną, z rozmaitych względów (osobista skromność, oddalenie od głównej giełdy literackiej, ogłaszanie zbiorów w wydaniach bibliofilskich) praktycznie nie znaną, pełną uroku, serdecznego ludzkiego ciepła, kontynuującą tradycję liberalizmu poetyckiego, sławiącą piękno powszechności. Twórczość poetycka Obertyńskiej należy do okresu przedwojennego; szczyt jej stanowią „Klonowe motyle“ (1932). Od wybuchu wojny pisała niewiele: zesłanie do Rosji, udział w Służbie Pomocniczej Kobiet wreszcie ciężka walka o byt na emigracji — nie sprzyjały twórczości poetyckiej Obertyńska jest autorką wstrząsającej książki „Z domu niewoli“ (1946) wydanej pod pseudonimem Marty Rudzkiej.

Nagrodę młodych, przeznaczoną dla pisarzy, którzy nie ogłosili niczego przed r. 1939, a zaznaczyli się po r. 1945, podzielono na dwie równe części.

Jedną część otrzymał Tadeusz Nowakowski. Ta decyzja przynosi sędziom prawdziwy zaszczyt. Nagradzając wybitną ale i niekonformistyczną osobowość pisarską, prozaika, który mógł budzić zastrzeżenia przez prawdomówność, żywiołowość, ostre, realistyczne spojrzenie, wystawili sobie świadectwo bezstronności, wrażliwości literackiej i odwagi.

Druga część nagrody przypadła Edmundowi Różyckiemu za nadesłaną w rękopisie powieść na tle kampanii wrześniowej p.t. „Obrachunek włodarzy“.

Nagrodę za działalność publicystyczną w duchu programowo-katolickim uzyskał Wojciech Wasiutyński. Wybór doskonały, gdyż Wasiutyński reprezentuje typ publicysty wykształconego, wytrawnego, czujnego, obdarzonego poczuciem miary i poczuciem humoru.

Nagrody poetyckie przyznano Bronisławowi Przyłuskiemu i Bolesławowi Kobrzyńskiemu. Przyłuski znany jest sprzed wojny, Kobrzyński dojrzał w czasie wielkiego kataklizmu wojennego. Obaj, mimo ciężkich warunków, pracują intensywnie i wielostronnie (Przyłuski próbuje sił także w zakresie misteriowym, jak tego dowodzi „Pastorałka małaszowska“, która zasługiwałaby na baczniejszą uwagę).

Utworzenie nagród literackich przez ośrodek katolicki jest faktem wielkiej wagi, może przełomowego znaczenia w życiu kulturalnym emigracji. Zrywa ono zmowę obojętności wokół literatury, bodaj w części wyrównywa wieloletnie zaniedbania społeczeństwa i czynników powołanych do opieki nad jej losem. Stanowi wzór do naśladowania dla innych instytucji i innych środowisk.

Samorzutna inicjatywa i ofiarność kół katolickich wystawia chlubne świadectwo ich wrażliwości społecznej i narodowej. Osobnym, wzruszającym i pocieszającym rysem całego przedsięwzięcia jest to, że umiano nim zainteresować szerokie koła czytelników, którzy złożyli ze składek prawie połowę sumy potrzebnej na nagrody.

Pomysł, organizacja tej zbiórki, jak i organizacja konkursu, na który wpłynęło przeszło czterdzieści prac, jest zasługą Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas“. Ma on na swoim rachunku kilka cennych osiągnięć. Jednym z nich są tygodniki „Życie“ i „Gazeta Niedzielna“, które spełniają ważną i coraz ważniejszą rolę w środowisku polskim w Wielkiej Brytanii. Drugim jest podjęcie działalności wydawniczej; po zawieszeniu prac Polskiego Instytutu Literackiego i zahamowaniu pomyślnie rozwijającej się akcji Stowarzyszenia Pisarzy, „Veritas“ po prostu uratował honor naszego uchodźtwa, wydając drogą subskrypcji „Książkę o Kołymie“ na krótko przed śmiercią jej autora. Trzecim osiągnięciem jest utworzenie nagród, które powinny stać się instytucją trwałą.

Ludzie dobrej woli i ludzie uczciwie troszczący się o los kultury, brutalnie dławionej w Kraju i nieodpowiedzialnie zaniedbanej na emigracji, doceniają wagę tych wysiłków i życzą powodzenia tym, którzy je podejmują.

NA MARGINESIE

PLECAMI DO MARXA

OBRADY socjalistycznej konferencji w Kopenhadze zakończyły się 4 czerwca br i wskazały europejskim partiom socjalistycznym nowe drogi. Izolacjonizm jest niewskazany. W zwalczaniu totalitaryzmu łączyć się trzeba ze wszystkimi siłami demokratycznymi. Współpraca z obrońcami kapitalizmu nie jest wcale grzechem. „Nie warto — powiedział teoretyk brytyjskiego socjalizmu p. Morgan Phillips — zawracać sobie głowy obalaniem ustroju kapitalistycznego“. Na bok należy odłożyć uprzedzenia socjalistów do Stanów Zjednoczonych, gdyż są one wynikiem — jak twierdzi p. Phillips — przestarzałych już poglądów. Rehabilitacja Wuja Sama jest kompletna, bo w broszurze, wydanej przed kilkunastu dniami przez Labour Party a stanowiącej credo partii w stosunku do zagadnień z Unią czy Federacją Europejską związanych czytamy, iż „z wyjątkiem Wielkiej Brytanii i państw Skandynawskich nie ma nigdze rządu o tak postępowym programie w zakresie wewnętrznej i zewnętrznej polityki jak w Stanach Zjednoczonych“.

Czy tendencje odwracania się od Marxa nie poszła za daleko? Cóż robili socjaliści zasiadający w powojennych rządach Francji. Belgii, Włoch, by p. Truman mógł ich tak łatwo wyprzedzić? Czy można brać o tyle na serio program, będący, jak dotąd, funkcją strategii wyborczej? Cóż? Trzeba chwalić tych, którzy wypowiedzieli walkę komunizmowi na „śmierć i życie“. W tym wyraża się szczególnie ich „postępowość“.

RÓŻNE MIARY

GENERAŁ Mac Arthur wydał rozkaz usunięcia 24 przewódców komunistycznych ze stanowisk o charakterze służby publicznej. Oparł się on na deklaracji poczdamskiej, skierowanej przeciw „militarystycznemu nacjonalizmowi i tajnym stowarzyszeniom“.

Ciekawe jest umotywowanie zarządzenia amerykańskiego wielkorządcy: „Na arenę japońskiego życia weszło nowe ugrupowanie. Dąży ono do przekręcania prawdy, podjudzania do gwałtu i obalenia konstytucyjnego rządu... Chociaż ta organizacja jest w stanie zalążkowym. tolerowanie jej zagraża japońskim demokratycznym instytucjom i może doprowadzić do zniszczenia japońskiej rasy“.

Jak inaczej patrzano na „zalążek“ tej samej organizacji, w Polsce, gdy nazywała się ona Komitetem Lubelskim! Jak głaskano go w r. 1945 nawiązując z rządem przez ten zalążek wyłonionym stosunki dyplomatyczne, depcząc Konstytucję sojuszniczego państwa.

Co wolno nad Bałtykiem, tego nie wolno nad Pacyfikiem. Ile miliardów dolarów takie rozumowanie kosztowało już Stany Zjednoczone?

NOŻYCE

PRZED kilku dniami nad grobem Franklina D. Roosevelta przemawiał jego stary przyjaciel senator Lehman. Oświadczył, iż jest nikczemną niesprawiedliwością przypisywać „obecny tragiczny stan spraw na świecie winom czy błędom“ zmarłego prezydenta. „Jestem oburzony — mówił — tym powtarzaniem bez końca oszczerstw, że prezydent Roosevelt był w swych stosunkach z Rosjanami naiwnym, krótkowzrocznym a może jeszcze co gorszego...“

To „gorsze“, to chyba zabranie ze sobą do Jałty agenta Moskwy Algera Hissa, jako doradcy sekretarza stanu Stettiniusa.

X.Y.Z.

KATOLICKIE PISMO
DOBRA KSIĄŻKA
TO TWOI PRZYJACIELE

Z SALI ODCZYTOWEJ

DR HOŁUB-PACEWICZOWA O PIRENEJACH

Tak się zawsze dziwnie składało, że Polacy spędzający wakacje we Francji omijali z reguły Pireneje; nawet ci, co odbywali pielgrzymki do Lourdes często nie orientowali się, że miejscowość ta leży w tym pięknym łańcuchu górskim i jest doskonałym punktem wypadowym do wycieczek w masyw centralny. Toteż dobrze się stało, że w okresie jeśli nie planowania, to przynajmniej rojenia o wycieczkach i urlopach, Klub Towarzyski YMCA zaprosił znaną polską uczoną geografkę dr. Hołub Pacewiczową do wygłoszenia dwóch ciekawych odczytów o Pirenejach. Słuchałem ich z tym większym zainteresowaniem, że teren jest mi znany z osobistego, jeszcze przedwojennego przeżycia.

Dr Hołub-Pacewiczowa jest osobą szczególnie kwalifikowaną do pisania i mówienia o wszystkich niemal łańcuchach górskich Europy, a szczególnie o Pirenejach. Jak wiadomo dobrze geografom, uczona polska od lat specjalizowała się w badaniach porównawczych nad ludami pasterskimi. W r. 1931 nakładem Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie, jako pierwsze wydawnictwo komisji geograficznej ukazało się jej wspaniałe, 500-stronicowe dzieło pt. „Osadnictwo Pasterskie i wędrówki w Tatrach i na Podtatrzu“ (ten ostatni termin został użyty dla podkreślenia, że nie chodzi tu jedynie o polskie Podkarpacie). W dwa lata później nakładem firmy słowackiej „Matica Slovenska“ wyszła obszerna praca dr. Pacewiczowej, uzupełniająca poprzednią: „Pastierstwo v Nizkych Tatrach“ (po słowacku, Bratislava, 1934) Szereg prac z tej samej dziedziny, ale dotyczących terenów alpejskich drukowała nasza uczona rodaczka po francusku w wydawnictwach Sorbony (gdzie na kilka lat przed wojną objęła stanowisko asystentki) oraz w sprawozdaniach międzynarodowych zjazdów geograficznych. Na parę lat przed wybuchem wojny p. Pacewiczowa wraz z prof. Sorbony Faucher rozpoczęła wielką ankietę celem ustalenia stanu i pochodzenia polskiej imigracji rolniczej we Francji. Praca ta, prowadzona na zlecenie rządu polskiego, dobiegała już końca, gdy wypadki wojenne zmusiły dr Pacewiczową do ewakuacji. Niedawno nadeszły wiadomości, że większość zebranych z wielkim trudem i ukrytych w południowej Francji materiałów dostała się w jakieś niepowołane ręce i jest dla nauki polskiej stracona. Na moje zapytanie, czy bez tych materiałów byłoby możliwe choćby przybliżone odtworzenie pracy tych kilku lat, dr Pacewiczowa odpowiedziała że rekonstrukcja taka nie miałaby wartości naukowej, ani dokumentarnej.

Ale wróćmy do Pirenejów, od których zresztą nie oddaliliśmy się zbytnio, gdyż wspomniane materiały skradzione zostały gdzieś u ich podnóża. Za podstawę swych dwóch pogadanek wzięła prelegentka pierwszą, odbytą wraz z mężem, popularnym malarzem, wycieczkę kilkutygodniową z r. 1931 — eskapadę bardzo interesującą i obfitującą w przygody i sportowe wyczyny. Osobiście żałowałem, że dr Pacewiczowa umyślnie wyeliminowała ze swojej opowieści problemy i zagadnienia czysto naukowe, nadając jej tok krajoznawczo-turystyczny, aczkolwiek część pierwszą prelekcji poświęciła ogólnemu opisowi charakteru gór Pirenejskich.

Nie zamierzam tu streszczać obu pogadanek; było by to zresztą niemożliwe z uwagi na obfite (może nawet za obfite) wyświetlanie fotografii własnych prelegentki i ilustracji (częściowo barwnych) przedstawiających folklor kataloński i baskijski. Dla amatorów wycieczek tego rodzaju (a są podobno Polacy, którzy wybierają się — szczęśliwcy! — w Pireneje) powtórzę tylko zwierzenia dr Pacewiczowej na temat ekwipunku i metody naukowego (czyli po prostu dokładnego i metodycznego) poznawania terenów górskich. Przed wyjazdem: zapoznanie się z literaturą dotyczącą danego terenu, sporządzenie planu ramowego, zostawiającego duży margines na niespodzianki i nagłe (często doskonałe) pomysły. Ekwipunek: namiot, bussola Bezarda, arenoit (do sprawdzania wysokości) aparat fotograficzny i normalne wyposażenie górskie (plecaki — niezbyt wyładowane, buty, liny etc.). W terenie: unikanie wszelkich schronisk i hoteli, poszukiwanie człowieka autentycznego, żyjącego u siebie — bez przewodników. Dodam jeszcze, że ludność w Pirenejach, zwłaszcza po stronie hiszpańskiej, bardzo gościnnie przyjmowała turystów polskich: pp. Pacewiczowie nie spotkali się ani razu z odmową noclegu czy posiłku; prawie zawsze uzyskiwali od górali doskonałe i bardzo interesujące informacje.

Najciekawszym fragmentem pierwszej prelekcji dr. Pacewiczowej był opis miniaturowej republiki Andory, która stanowi do dziś jak gdyby wyrwany z XIII w. rezerwat feudalno-patriarchalny. Niestety, już i tam dociera jazz i dancing i zapewne dzisiejsza Andora różni się bardzo od tej, którą państwo Pacewiczowie oglądali w 1931 r.

Na zakończenie informacja dla miłośników krajoznawstwa i turystyki: część materiału dr Pacewiczowej o Pirenejach była publikowana w r. 1936 w polskim czasopiśmie geograficznym „Wierchy“ — numer ten jest osiągalny w Londynie.

DR WEINTRAUB O SOCJALIŹMIE MICKIEWICZA

Jak wiadomo publicystyka, a nawet pseudonaukowa historiografia literatury w Kraju usiłuje wmówić w maluczkich, że Adam Mickiewicz był w swej działalności politycznej tak czerwony jak batiuszka Stalin. Jeśli się nie mylę, to co głupsze chłoptaski z komukrytyki nazywają go nawet marksistą, a biedny naród musi wierzyć, albo udawać, że wierzy. Tymczasem okazuje się, że Mickiewicz był mniej więcej w tym samym stopniu socjalistą co nasz dzisiejszy Mackiewicz (Cat, oczywiście).

W jednej ze swych prelekcji w Sorbonie paryskiej (z dn. 1. 2. 1842 r.) podkreśla Wieszcz biedę chłopa polskiego, ale zaraz wyjaśnia, że chłop biedy zwyczajny, a zresztą jada więcej od Trapistów i Tatarów i czuje się dobrze. Użycie batoga też — zdaniem Wieszcza — nie jest znowu tak straszne, jeśli pan jest „ludzki“. Bo to przecież „bolesność kary jest względna“ i tylko wiedy niemiło, gdy karze szlachcic-elegant, co nie dba o polską tradycję i z cudzoziemska się nosi.

W zbiorze zasad Legionu Włoskiego obiecuje Mickiewicz „każdemu ziemię pod opieką gminy“, ale zaraz potem, trochę nielogicznie, dodaje „własność *w stanie dzisiejszym* będzie broniona“. Podkreślone przeze mnie słowa, użyte w orginalnym tekście włoskim, napisanym ręką Poety, były opuszczone (zapewne wykreślone przez Władysława Mickiewicza) w tekstach polskich, ale wygrzebał je dr Wiktor Weintraub i zestawił z identycznym, współczesnym włoskiemu tekstem polskim, znacznie starszym od sfałszowanego.

W bardzo ciekawym, jasnym i świetnie dokumentowanym tekstami (zwłaszcza cytatami z prelekcji paryskich) wykładzie, wygłoszonym na zaproszenie Społeczności Akademickiej USB (nareszcie możemy pochwalić udaną imprezę tej instytucji) — dr Weintraub dał przekonywującą sylwetkę polityczną Adama Mickiewicza: zawsze poety i religijnego mistyka, traktującego ówczesny socjalizm romantyczny wyłącznie jako narzędzie taktyczne, gardzącego wszelkimi doktrynami ekonomicznymi, jako odwracającymi uwagę od zagadnień duchowych, tradycjonalisty i zwolennika ustroju patriarchalnego, antyklasowca i spirytualisty. Prelegent przeszedł kolejno etapy działalności publicystyczno-politycznej Mickiewicza. Od „Ksiąg Narodu i Pielgrzymstwa“, które były także (choć, rzecz jasna, nie wyłącznie) broszurą polityczną w obronie atakowanej przez większość emigracji polityki wodzów powstania i Czartoryskiego, poprzez wykłady paryskie i „Trybunę Ludów“ (usiłowanie związania Napoleona III, wówczas prezydenta z wojowniczymi, propolskimi i antyrosyjskimi elementami robotniczymi o zabarwieniu socjalistycznym) aż do listu Mickiewicza do francuskiego komisarza policji (w którym Poeta z godnością, dyplomatycznie, ale dosyć stanowczo odżegnywa się od działalności socjalistycznej) i do eskapady Konstantynopolitańskiej, przedsięwziętej z ramienia księcia Adama — Mickiewicz zawsze pozostawał w dobrych stosunkach z Hotelem Lambert. Do socjalizmu i robotników francuskich zbliżał się tylko na płaszczyźnie taktycznej, gdy uważał, że może to przyspieszyć upragnioną wojnę z Rosją, a radykalizm (dość umiarkowany) swych poglądów społecznych bazował na mistyce religijnej i patriarchaliźmie rzekomych, prasłowiańskich gmin o wspólnej własności, o których wiedział od Lelewela.

Wartość naukowa wykładu dr Weintrauba jest niewątpliwa: polega nie tyle na wykryciu nowych, rewelacyjnych źródeł, ile na oryginalnym i twórczym zestawieniu istniejących, ale dotychczas źle rozumianych albo celowo fałszowanych elementów. Jeśli wszystkie wystąpienia dr Weintrauba na uniwersytecie Harvard, gdzie od września obejmuje wykłady z literatury polskiej, będą na tym poziomie — to trzeba będzie winszować amerykańskiej uczelni, że pozyskała naukowca tej miary. Dowiaduję się, że wykłady swe w Harvard dr Weintraub rozpocznie od kursu literatury polskiej XIX wieku.

St. Pał.

PRZED ZAMKNIĘCIEM PRZEDPŁATY NA POWIEŚĆ J. GIERTYCHA

W dniu 1 lipca kończy się na terenie Wielkiej Brytanii okres przedpłaty na powieść J. Giertycha ‚W Polsce między wojnami‘. W innych krajach w których kampania propagandowa została później zaczęta, przedpłata trwać będzie dłużej.

Jak nam donosi p. Giertych, do soboty dn. 17 czerwca włącznie wpłynęły na jego powieść 504 przedpłaty, z czego 353 z Wielkiej Brytanii, 84 z innych krajów europejskich, 55 z Ameryki Północnej, 8 z Afryki, 3 z Ameryki Południowej i 1 z Azji.

Prenumerata za całość (3 tomy) wynosi 15 szylingów; po zamknięciu prenumeraty cena książki będzie podwojona. Prenumeratę można uiszczać ratami; przed jej zamknięciem wystarczy wpłacić pierwszą ratę. Zgłoszenia i przekazy pieniężne w Wielkiej Brytanii przesyłać należy wprost pod adresem autora, J. Giertych, 16 Belmont Road, Londyn N.15.

Podajemy dodatkowo adres, pod którym można wpłacać przedpłatę na terenie Brazylii: Pani Z. Kietlińska, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana.

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

SPADEK INTELIGENCJI?

Królewska Komisja Ludnościowa (Royal Commission on Population) ogłosiła w tych dniach sprawozdanie ze swych badań nad związkiem między zmniejszającą się stopą urodzeń a stanem inteligencji wśród mieszkańców W. Brytanii. Sprawozdanie zawiera poglądy szeregu specjalistów; poglądy te w większości są pesymistyczne.

Sir Godfrey Thomson, profesor wychowania na uniwersytecie edynburskim, wypowiada pogląd, że przeciętny poziom inteligencji wśród mieszkańców Wysp Brytyjskich spada. Jest to wynikiem faktu, że inteligencja jest w znacznym stopniu właściwością dziedziczną, tymczasem właśnie ludzie inteligentni mają mało dzieci. W rezultacie zwiększa się przewaga żywiołów nieinteligentnych, które rozradzają się silniej.

Przeciętny poziom inteligencji — zdaniem Thompsona — zmniejsza się o jeden punkt na pokolenie; do tego wniosku doprowadzają badania nad inteligencją dzieci, przeprowadzane według ustalonych kryteriów naukowych.

Jedyną radą — wedle Thompsona — jest zapewnić wszystkim rodzicom możność należytego kształcenia ich dzieci, do czego jeszcze daleko. Jeśli uda się dojść do tego, wówczas także inteligentni rodzice będą mieli większe, niż obecnie, potomstwo.

Sir Cyril Burt, profesor psychologii w londyńskim University College, wypowiedział opinię ostrożniejszą, podkreślając, że wszelkie pomiary w dziedzinie psychologii zamącane są przez różne postronne czynniki, wskutek czego osiągnięte wyniki są często dalekie od ścisłości. Tak np. osiągnięte drogą tych pomiarów cyfry wskazywałyby na spadek przeciętnej inteligencji o prawie dwa „punkty ilorazowe“ na pokolenie — co stanowiłoby około jednej trzeciej rocznego rozwoju umysłowego. Mimo to porównanie liczby dzieci tępych i dzieci inteligentnych z poprzedniego i obecnego pokolenia wskazuje na znacznie powolniejszy spadek inteligencji, niż by to wynikało z owych „punktów ilorazowych“.

Niemniej i Burt wyraża opinię, że jeśli spadek przeciętnej inteligencji będzie trwał w tych rozmiarach, jakie się dziś przypuszcza, to w ciągu lat 50 liczba dzieci szkolnych, które posiadają kwalifikacje do otrzymania stypendium, zmniejszy się okrągło o połowę.

Zupełnie inne zdanie wypowiada J. B. S. Haldane, profesor biometrii w londyńskim University College, znany ze swych przekonań komunistycznych. Twierdzi on, że istniejące dane nie dają powodu do przypuszczania, że poziom wrodzonej zdatności intelektualnej wśród ludności W. Brytanii spada.

Sprawozdanie obejmuje również projekt opodatkowania ludności na zasiłki dla licznych rodzin, opracowany przez ekonomistę Roya F. Harroda.

Warto dodać, że podobne dyskusje nad ujemnym wpływem spadku rozrodczości na przeciętne zdolności umysłowe społeczeństwa toczą się i we Francji. Wielu wybitnych specjalistów wypowiada pogląd, że tzw. regulacja urodzin, stosowana przede wszystkim przez rodziców inteligentnych, doprowadza w następstwie do pogorszenia jakości całego narodu.

ZWIĄZKI KULTURALNE Z WŁOCHAMI

Pisząc o otwarciu Instytutu Włoskiego w Londynie ‚Times Literary Supplement‘ podkreśla, że pradziadowie obecnego pokolenia angielskiego znali dobrze języki i potrafili mówić po włosku. Wozili ze sobą tomiki Dantego i Tassa i często spisywali swe wspomnienia z wycieczek na Półwysep Apeniński w języku włoskim.

Osłabienie węzłów między Anglią a Włochami ‚było jedną z tragedii XX stulecia‘; było to oddalenie się od pierwiastkowego źródła cywilizacji europejskiej. Nowy Instytut Włoski może wiele przyczynić się do naprawienia tego stanu rzeczy.

STREPTOMYCYNA
10 gramów: £. 2.12.0 — 20 gramów‘ £. 5,3.0
PENICYLINA
1,250.000 j. (oily) 14/- — 1.000.000 j. (krystal.) 11/
CENY WRAZ Z PRZESYŁKĄ POLECONĄ DO KRAJU
(do 2 uncji lotniczo, za „express“ 6 d).
Także wszelkie
LEKARSTWA
po cenach eksportowych (bez „Purchase Tax“)
wysyła:
FREGATA (MERCHANTS) LTD.
11 Greek Street, London, W. 1, Tel.: GER 2522

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Publication Centre. Adres redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W 2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17 — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. Prenumerata płatna jest z góry i wynosi: miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi „crossed“, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; w tekście 50% drożej, na stronie tytułowej 100% drożej. Prenumerata zagraniczna: SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. Bożysław KUROWSKI. Anggatan 6 c, Lund, Sverige, Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: kwartalnie 12 peso półrocznie 24 peso. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641, Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2.

Printed by: „Veritas Foundation Press“ 12, Praed Mews, London W. 2. Tel. PAD. 9734.